KŁOPOTY

STAREGO KOMENDANTA.

Tom III.

... J. Opowiadania historyczne, 1 tom

1.) Pod Półksiężycem. 2.) Książę Sarmacji 3.) Odwiedziny monarsze. 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety. 7.) Tynna w końcu XVIII. wieku.

— Nowe opowiadania historyczne . . 3 .

1.) Pod krzyżem. 2.) Losy kresowego miasteczka. 3.) Wartabiet. 4.) Zemsta kozacza. 5.) Porwanie króla. 6.) Niedoszłe legiony.

— Opowiadanie historyczne. Tadeusz Leszczyc Grabianka, Starosta Liwski 1 80

W druku: **Gawędy historyczne.**

Bałucki, M. Biały murzyn, powieść 2 60

Biblioteka polska:

I. II. **Krasiński, Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisława hr. Tarnowskiego, 2 tomy.

III.—VI. **Mickiewicz, Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.

VII.—X. **Zaleski. B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora.

XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzano przez Dra Węclewskiego.

XII. **Niemcewicz, J.** Jan z Tęczyna. Powieść histor.

XIII.—XVI. **Słowacki, Juljusz.** Dzieła. Wydanie przejrzane przez prof. dr. A. Małeckiego.

XVII.—XVIII. **E...ly,** (Asnyk Adam,) Poezje, 2 tomy.

Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct., w oprawie . 2 40

Biliński, Dr. L. System nauki skarbowej . . . 6 —

Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna . . 2 40

— Król i Bondarywna, powieść historyczna . . . 2 40

— Pamiętnik panicza. — Dziennik Serafiny . . . 2 40

— Nad modrym Dunajem Nowella 2 40

Buława, E. Karlińscy. Tragedya w pięciu odsłonach . . 1 80

— Joanna Grey. Obraz tragicz. z XVI. wieku w 5. odsłon. 1 80

Bykowski, P. Syn Znajdy. Powieść ukraińska . . . 2 40

Chłędowski, K. Sylwetki społeczne 2 40

Jeż, J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej . . 2 40

Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozostałych po ś. p. K. K. generał sztab-lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski 2 tomy . . 4 20

Kraszewski. Kajetan. Koniuszyc Brzeski. Opowiadanie . 1 80

Lam, J. Z głębi morza. Powieść z angiel. K. Dickensa . 1 12

— Wielki Świat Capowic. Powieść 1 40

Lemcke. K. Estetyka, 2 tomy . . . . . 6 —

Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i Pamiętniki . 4 20

Listy Tadeusza Kościuszki zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego 2 80

Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848 2 tomy . . 5 —

Marrené, W. Błękitna książeczka. Powieść. . . . 2 40

Opowiadania historyczne przez K. S. Bodzantowicza . 3 —

1.) Wieczór przy kominku 2.) Fatum. 3.) Muszkieter 4.) Sierota, wspomnienie z przeszłości. 5.) Opowiadania pani strażnikowej. 6.) Pan Gajeski, gawęda szlachecka. 7.) Kasper Cieciszowski, arcybis mohilow. i metrop. całej Rosyi.

Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku. . . . 1 80

Patzig. Praktyczny gospodarz, tłum. z niem. J. Turczyński . 4 20

Stadnicki, K. Olgierd i Kiejstut syn. Gedymina, W. ks. Litwy 2 40

Wilkońska, P. Na Teraz. Powieść 2 40

Wiśniewski. Zyg. Dziesięć lat w Australji. Wspomnienia z podróży, 2 tomy 4 20

Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji . . . 2 60

...**owski. W.** Powstan. i wzrost reform. w Polsce . 2 40

...głupstwa. Powieść napisał Ignotus ...

KŁOPOTY
STAREGO KOMENDANTA.

OBRAZKI NASZYCH CZASÓW.

OPOWIADANIE

ALBERTA WILCZYŃSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE

z rysunkami E. Błotnickiego.

TOM III.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
PLAC ŚW. DUCHA L. 10.
1879.

PAN MARSZAŁKOWICZ.

OPOWIADANIE.

VII.

Teraz podążmy znowu śladem pani Ludwikowej, która ukończywszy edukację córek, powróciła do domu, i zastawszy kochanego Ludwika różowszym niż zwykle, miała niewątpliwą przyczynę cieszenia się jego przezacnem zdrowiem. Przepełnione kufry najświeższych stroików, przytem miła niespodzianka, staraniem dobrego pana Ludwika dla nich przygotowana, w osobie nowo-przyjętego lokaja, gwałtem wołały o pokazanie ich wielkiemu światu powiatowego miasteczka. To też na drugi dzień przed południem, na wspólnej domowej radzie postanowiono oddać natychmiast powitalne wizyty; w tym więc celu, panie udały się do swoich apartamentów, jak mówiły, dla zrobienia stosownej toalety, a pan Ludwik wezwał nowego lokaja dla udzielenia mu stosownych instrukcji.

Ponieważ ta powitalna processja narobiła później wiele hałasu po mieście, więc darujcie mi czytelnicy, że odbiegając od ciągu niniejszego opowiadania, poważę się nieco obszerniej wam ją opisać.

— Pójdźno tu bliżej Dydaku — przemówił łagodnie pan Ludwik do wchodzącego w tej chwili lokaja — pójdziesz z paniami na wizyty, pojmujesz!

— A jakże?! prosę jegomości.

— No, więc ubierz się w liberję; włożysz ten oto kapelusz, jakem ci pokazywał; masz tu chustkę od nosa, białe rękawiczki trochę podarte wprawdzie, ale też nie rozkładaj ręki tylko ściśnij...

— Wiem, prosę jegomości...

— Ale nie jegomości się mówi, tylko jaśnie pana.

— No, to prosę jasnego pana, tak ścisnę rękę, jakbym kogo miał rznąć w gębę. Już ja się znam na tych wszystkich delicjach dworskich; we wsi, bywało, Jagna to zawsze gada: „wy Dydaku toście do wszyćkiego tacy sprytni...“

— Bez tych gawędek, bez gawędek; tylko pamiętaj iść za paniami zawsze o cztery kroki, ani mniej ani więcej; pojmujesz?

— Bacę, jaśnie panie.

— Dalej: jak panie wejdą do jakich państwa, zdejmiesz z nich burnusy...

— Eh! prosę jaśnie pana, jegomość se kpi ze mnie — przerwał śmiejąc się pociesznie nasz Dydak.

— Co ci się znów przywidziało?

— Kaj się tam przywidziało: nase panienki tak bieluśko ubrane, a jasny pan gada, zeby zdjąć brudasy.

— Ależ bój się Boga, burnusy: widzisz te odziewadła, co panie się niemi okrywają...

— Chyba — odrzekł, machając ręką i drapiąc się w głowę Dydak — boć to Miemcy Bóg wie co nie wymyślają! Ale mnie się widzi, że te płachty takie ładniuśkie, to piękniejby w nich nasym panienkom...

— Głupiś! — krzyknął pan Ludwik, zrywając się z krzesła — piękniej nie piękniej, co tobie do tego — zdejmuj kiedy każą.

— Ano, to i zdejmę.

— Dalej; masz tu bilety wizytowe, pojmujesz? i jakby państwa nie było...

— Wiem, wiem, prosę jegomości — wtrącił ochoczo Dydak — jakby panie nase pieniędzy zabaczyły, to na to dadzą w sklepie...

— Gdzież znowu, co ty gadasz człowieku! a to dopiero nieokrzesany drągal! mówię ci, że jakby tych państwa nie było w domu, do których cię panie poślą, masz taki jeden bilet zostawić służącej.

— I to się prosę jasnego jegomości nie odbierze?

— Naturalnie że nie.

— Eh! to szkoda, prosę pana — mówił oglądając bilety — takie gładziuśkie; a toć to u nas dziedzic brzydsze daje za dzień...

— A czy cię kaduk nadał z tem gadulstwem, czy co? Ruszajże sobie już, bobyś ty do wieczora nie skończył! Co to za chamska natura.

— Słuchajno Dydak — wołał już za drzwiami pan Ludwik — pani mów: jaśnie pani sędzina, pannom: jaśnie panna sędzianka, kapelusz na bakier, cztery kroki, burnusy, bilety, a surdut zapiąć na przodzie, żeby się poły nie odwiewały; uczesać się, umyć...

— Wsystko będzie galanto, prosę jasnego pana — wołał biegnąc żwawo do kuchni.

— No, jużeśmy gotowe — zawołały strojne i uśmiechnięte kobiety, pokazując się z drugiego pokoju — Dydak gotów? — spytała pani Ludwikowa.

— Zaraz przyjdzie, ja go tu już nauczyłem co ma robić — odpowiedział mężulko, przyglądając im się z całą lubością ojcowskiej miłości. — Tylko też wrócić na drugą, bo ja czekam z obiadem.

— A wrócimy, wrócimy, do widzenia *monker*.

— Do widzenia.

I wyszły na ulicę, przeprowadzane czas niejaki

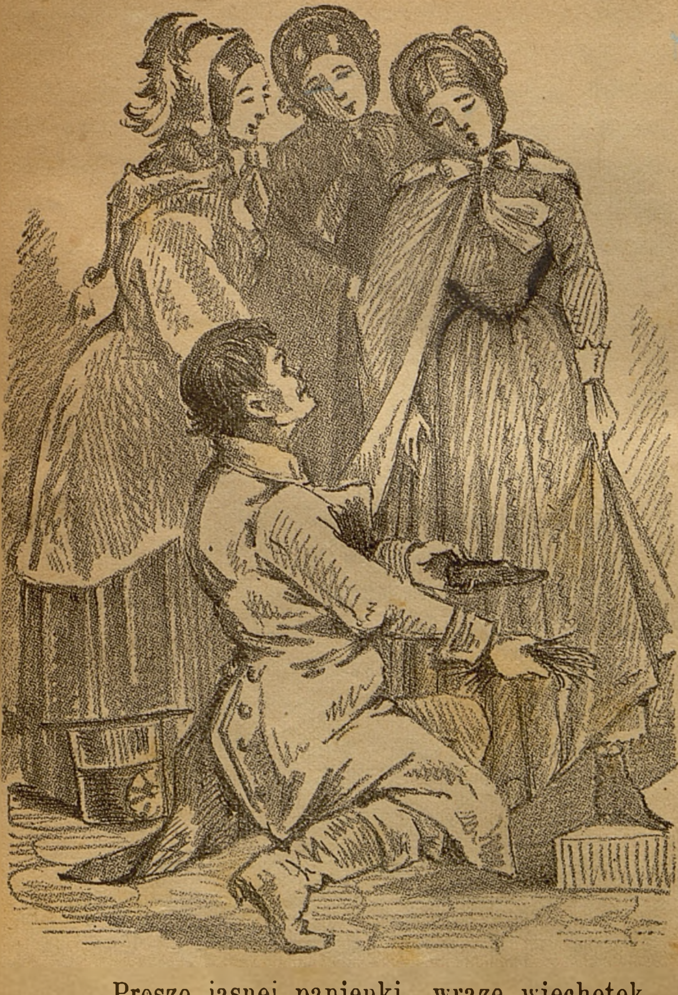
wzrokiem kochanego tatka. Mama i panny w nowych żółtych sukienkach w Warszawie uszytych, w nowych białych burnusikach z kapturkami na plecach, w nowych trzewikach, rękawiczkach, z chustkami od nosa z poczwórną ukoronowaną cyfrą, a panna Bronisława jeszcze w nowych lakierowanych kaloszach, jako cierpiąca na katar: suwają bardzo powoli, omijając wystające na bruku kamienie.

Pogoda czerwcowa już z letnim upałem wybornie sprzyja przechadzkom; idą więc uszczęśliwione, bo wiele osób przygląda się modnym strojom: znajomi przesyłają ukłony, zatrzymując co kilka kroków nasze elegantki, a wszyscy jednogłośnie admirują ubiory, zdrowie; oglądają, próbują, zgadują cenę, zazdroszczą — zwyczajnie jak ludzie.

Za niemi nasz Dydak, wczoraj jeszcze fornal w sąsiedniej wiosce, a dziś wykształcony lokaj, w jasno-niebieskim surducie, obszytym szeroką, żółtą taśmą, podobno wnuku ze szlafroka pana Ludwika, cały oblepiony świecącemi guzami różnego koloru, wielkości i herbów, w białych wełnianych rękawiczkach, postępuje krok w krok z całą powagą chłopskiej szkapiny, kiedy ją w angielskie szory z klapkami przy oczach ustroisz. Mały spiczasty kapelusz, istny postrach na wróble, lecz ozdobiony sążnistą kokardą, zaledwie mu pokrywa wierzchołek ogromnej skudłaczonej głowy; to też

przekręciwszy go na prawe ucho, przytrzymuje go jedną ręką, a drugą z zaciśniętą pięścią buja tak zamaszysto, jak wahadło wieżowego zegara. Rękawiczki tylko z ogromnemi dziurami, źle jakoś odbijają przy całym tym uniformie; gdyż biedak przemienił je przy wkładaniu, i rozdarte miejsca, zamiast być na dłoni, znalazły się jeszcze większemi na wierzchu. Wszelako pomnąc na rozkazy jasnego pana, ściska ręce potężnie, i trzyma się zawsze o cztery kroki od jasnych pań swoich. Co chwila nogi mu się plączą w faldzistym surducie, którego nie zapiął na przodzie, potknie się na trotoarze, obejrzy za siebie, jakby z wyrzutem dla kamienia, i odrzuci go na bok z największą furją. To znów popatrzy na nowe huczące buty, zerknie chciwie na rzęd błyszczących guzików, przemyśliwając już, jakby on je to osadził w krakowskim pasiku; albo wreszcie przegiąwszy się najkomiczniej, wyciąga z tylnej kieszeni czerwoną-kraciastą chustkę, zdejmie rękawiczkę, i tak pół po szlachecku, pół po chłopsku, z przeraźliwym krzykiem, wypełnia ten ważny nosowy obowiązek.

Pani Ludwikowa z nieukrytą radością ogląda się co kilka kroków na swego lokaja; w duszy dziękuje nieoszacowanemu mężulkowi za taką niespodziankę, Helenka każe mu poprawiać kołnierzyka, a Bronisia co parę domów ciągnie go za sobą do bramy dla zapięcia spadających nieustannie kalo-



— Proszę jasnej panienki, wrazę wiechetek, to będzie się djabelnie trzymać. (Str. 11, t. III.)

szy. Poczciwego Dydaka już zaczynają gniewać podobne przystanki, więc ruszył chłopskim rozumem, i porwawszy duży zwitek grochowin leżący na ulicy, idzie zadowolniony.

— Poprawno mi kalosza — mówi skrzywiona Bronisia stawiając nóżkę na progu jakiegoś sklepu.

— Dydak się schyla czemprędzej, zdejmuje kalosz i pakuje weń potężną dozę grochowin.

— Co ty robisz mazgaju!

— Eh! proszę jasnej panienki, wrazę wiechetek, to będzie się djabelnie trzymać.

— Fe! wyrzuć to zaraz!

— Ale bo to uparstwo, proszę jasnej panienki; już ja to w tem praktykant, ot tak będzie prawiuśko.

— Mówię ci, wyrzuć precz!

— Ha! kiej wyrzuć, to wyrzuć! ale to uparstwo — odpowiada zniechęcony Dydak — boć przecie na wsi jak człek owinie nogę słomą...

— Cicho bądź, nie rezonuj!

Postępują więc dalej w zwykłym porządku, lecz na przecięciu się ulic, Dydak spostrzega leżący poważnie na środku p o d k ó l e k (kłonicę) od wozu; furmańska natura odezwie się w jego sercu, skoczy więc uradowany, schwyci powalane smołą drzewo, obejrzy je z całem znawstwem gospodarza, i uradowany nabytkiem, goni za swemi jaśnie wielmożnemi paniami.

Nareszcie stawają wszyscy przed sienią domu, w którym mają oddać pierwszą wizytę. Pani Ludwikowa przywołuje Dydaka, i każe mu się iść dowiedzieć czy państwo przyjmują.

— Rozumiesz — mówi po raz trzeci drapiącemu się w głowę lokajowi — powiesz tak: „jaśnie pani sędzina Lińska z pannami, pyta się czy państwo przyjmują“ — pamiętaj, jasna pani...

Dydak kiwnąwszy potwierdzająco głową, biegnie do sieni, lecz nasze elegantki spostrzegłszy kij trzymany pod ręką, wołają: — Dydak, Dydak!

— A cóż imoście chcą? — pyta odwracając niechętnie głowę.

— Co ty masz za kij?

— Eh! proszę jasnej imości, to galanty podkólek.

— Rzuć mi to zaraz! Patrzcie państwo, pójdzie tam z osmolonym drągiem!

— Ale kaj to nowiuśki!?

— Mówię ci, rzuć!

Więc rad nie-rad, waha się przez chwilę patrząc z niezmiernym żalem na swoje znaleźne, potem biegnie czemprędzej do mostku trotoarowego, pakuje podeń ów podkólek, i wraca do sieni.

— Jasna pani sędzina z jasnemi panienkami cy teraz przychodzą — mówi jednym tchem stawając przed zabrudzoną kucharką.

— Co? co? — rzecze zadziwiona sługa, trzymając warząchew w ręce.

— No, cy pytają, cy nie?

— Ale kto?

— Dyć jasna sędzina Lińska z panienkami.

— To trzeba iść do przedpokoju — mówi śmiejąc się kucharka i pokazuje mu drzwi na boku.

Dydak szturmuje do drzwi z całej siły; po chwili wypada mała piastunka z dzieckiem na ręku, odsuwa rygiel, a nasz lokaj skłoniwszy się jej do nóg kapeluszem, powtarza to samo, że jasna Lińska i sędziątka cy tu przyjmują, cy teraz pytają.

— To zapewne do państwa? — odpowiada wytrzeszczywszy oczy piastunka.

— A juścić do państwa.

— To idźcież tam dalej, do pokoju.

Na progu zaraz, zwabiony niezwykłym krzykiem wybiega sześcioletni synek gospodarstwa; Dydak znów powtarza przed nim te same wyrazy, ma się rozumieć z pewnemi odmianami; chłopiec przelękniony ucieka i prowadzi za sobą ojca.

— Czego ty chcesz człowieku?

— Oooo! dyć gadam i gadam ze sześć razy, ze jasna sędzina z sędzionkami cekają?

— Gdzie czekają?

— A chajnok, przed chałupą.

— I cóż one chcą?

— A kaduk je tam wie, prosę jasnego jegomości; kazały mi iść i rzec com wyrzekł.

— No to powiedz, że dobrze — odpowiedział śmiejąc się serdecznie gospodarz.

Dydak jak oparzony wypadł na ulicę i krzyknął rozkładając rękoma: jegomość kazali pedzieć, ze dobrze.

Więc wchodzą uradowane damy do przedpokoju; Dydak wedle rozkazu zdejmuje burnusy, najprzód pannom, a potem mamie, lecz z prędkości chwyta ten ostatni wraz z kołnierzykiem i wyciąga całą ukrytą część szmizetki. Córki zajęte poprawianiem włosów i rękawiczek nie zważają na to, a uśmiechnięta pani Ludwikowa, z najlepszą miną wchodzi do salonu z wiszącym z tyłu pomiętym woreczkiem. Poczciwy Dydaczek pomny na rozkazy jaśnie wielmożnego pana, trzymając delikatnie w dwóch palcach owe kalosze, postępuje o cztery kroki, i staje przy drzwiach wyprężony z miną kompletnie głupowatą.

Mama mruga, panny sykają, wskazując ręką aby sobie wyszedł; lecz sumienny Dydak uśmiecha się pociesznie, porusza przecząco głową i dopiero ulegając przemocy gospodarza, wylata za drzwi spluwając:

— A to wciornascy nadali z takim przykazem; ten gada cztery kroki, ta gada idź; ten popycha człekiem bez miłosierdzia....

Tymczasem panie rozsiadłszy się na około ceremonialnego stołu, trzepią różne przeróżne warsza-

wskie nowinki, w których co piąte słowo wyjeżdża na scenę to hrabina, to radczyni, to wody w Saskim ogrodzie, to magazyny Adeli, Czabanowej i Sobolewskiej; później następuje przegląd wszystkich listków i kwiatków kapeluszowych, wstążek, kokardek, haftek i t. p. części ubiorów kobiecych. Sama gospodyni również należąca do liczby elegantek, prosi zaraz o formy kołnierzyków, przymierza kapelusze, odpina broszki i kólczyki, a zadowolniona tem mama, każe odśpiewać córkom prześliczny wyjątek z n a j ś w i e ż s z e j o p e r y Biedny Rybak.

Wreszcie po półgodzinnej takiej rozmowie, żegnają się nasze panie z gospodarstwem za pośrednictwem zgrabnych nadpowietrznych całusów, wychodzą do przedpokoju wołając o burnusy, a Bronisia prócz tego o lakierowane kalosze.

Dydak kręci się jak pijawka, okrywa samę panią podszewką na wierzch, (która powiedziawszy nawiasem, miała tylko po bokach jedwabne skrawki, bo środek ukryty zwykle przed oczami ciekawych, żółcił się błyskając najlepszego gatunku glans perkalem). Tymczasem niecierpliwa Bronisia wystawia nóżkę czekając kaloszy, Dydak zaś ukląkł na oba kolana, i nachyliwszy się, w żaden sposób nie może w pakować na prawą nogę kalosza z lewej; wpycha więc doń z całej siły prunelowe trzewiki. Włożył jeden, ale nie może zapiąć:

sprzączki nie pasują: on dociąga, wreszcie szarpnąwszy mocno, urywa, łapie się jedną ręką za plecy, i krzyczy: „o rany boskie!“

— A co się stało? — pyta jak na szpilkach stojąca Bronisia.

— A dyć mi tam coś straśnie trzasło w krzyzach.

— To galon się odpruł.

— Kaj tam galan, wyraziście słysałem że w krzyzach.

— Dobrze, dobrze, tylko zapinaj!

— Duchem będzie moja panienko: ja tu zadzierzgnę — i nie mogąc zapiąć, zawięzuje w węzeł rzemyki.

— Bronisiu, Bronisiu a pójdźże! — wołają z sieni kobiety.

— Idę, idę mamo — odpowiada utykając amatorka kaloszy, i zdąża za niemi. Aż tu wyszedłszy na ulicę, jak krzykną obie panny: — Mamo! burnus przewrócony!

— Gdzie? co? — mówi przelękniona Ludwikowa, a zobaczywszy żółtą podszewkę, jak strzała wpada napowrót do sieni.

— A to dopiero niezgrabiasz; zdejmuj zaraz!

— Kiejto imoście straśnie sierdziste; a dyć temu brudasowi het piękniej na owej stronie!

— Milcz! ty niegodziwcze.

— A zdejmże i te kalosze, bo mi pokaleczą nogi.

— Duchem moja panienko, duchem! — i chcąc

się pospieszyć, klęka raptownie na ziemi, a tu stary surdut trzask, rozwala się z tyłu od kieszeni do kieszeni. Dydak tylko pomacał się po plecach, machnął ręką i majstruje koło kaloszy. Lecz i tą razą nie idzie mu sporo rozwiązanie owych węzłów; syple rękami, zakłada kijkiem, gryzie zębami z całą gwałtownością, aż zniecierpliwiona do ostatka Bronisia, daje mu do trzymania parasolkę, i sama zaczyna odplątywać rzemyki. Dydak chce się podnieść żwawo, przystępuje nogą połę surduta, i jak długi rozciąga się na ziemi, łamiąc rączkę nowej parasolki.

— Coś ty zrobił niezgrabiaszu! — zawoła z całą gwałtownością Bronisia, przyskakując doń z obiema pięściami.

— To nic, proszę jasnej panienki, to się sporządzi — odpowiada oglądając z zajęciem złamane części — jak wezmę na klej, zbiję ćwieckami, dratwą z wierzchu obciągnę, to ani drgnie.

— A żebyś ty nie wstał z tego miejsca, z twoją dratewką; mój Boże! nowiutka parasolka, trzy ruble dałam i na nic.

— Ale niech się jasna panienka nie gniewa i nie pomstuje; ja nie chwaląc się sprytna bestya do tego: wszyscy parobcy z naszej wsi przychodzili do Dydaka z bicyskami, aby im lutować przystawkę, a Dydak jak chycił, choć trzy lata śmigaj ani drgnie.

— Bronisia, pójdźże prędzej, tak długo czekamy.

— Nieśże chociaż te kalosze i parasolkę, ty gamoniu jakiś — wyrzekła odęta panienka i pobiegła ku matce.

Niefortunny kamerdyner tymczasem z rozpłatanym na łokieć może z tyłu surdutem, wypadłszy z sieni pobiegł do mostku po ów znaloziony podkólek, postawił w rynsztoku kalosze, wyciągnął zawalane drewno, i zostawiwszy jeden kalosz, drugi z parasolką wziął pompatycznie w dwa palce jakby oba niósł przed sobą, i spiesząc za paniami przyglądał się ciekawie znalezionemu podkólkowi.

Wizytujące damy znowu podchodzą pod bramę domu, w którym mają odbyć drugą wizytę, wołają kamerdynera i każą mu iść się zapytać. Dydak biegnie na schody, lecz w tej chwili Bronisia spostrzega, iż on nie ma jednego kalosza.

— A gdzie drugi kalosz? — woła przyskakując do niego.

Juści w garści — mówi, będąc pewny, że trzyma obydwa.

— Kiedy ja widzę tylko jeden.

— A żeby cię wciornascy, dyć ja go widzę zostawił pod mostkiem! — I niesłuchając wołań, pędzi czemprędzej w poprzednie miejsce, już zdjąwszy kapelusz z głowy, bo nie ma czasu go przytrzymywać.

Damy czekają dziesięć minut, jego nie widać;

czekają kwadrans, jeszcze nie powraca: a on tymczasem z zafrasowaną miną szuka i szuka pod mostkiem; wygrzebuje wszystkie śmieci z trotoaru, przerzuca, przegląda, a kalosza jak nie ma tak nie ma. Nareszcie drapiąc się w głowę, kompletnie zdesperowany wraca wolnym krokiem napowrót

— No i cóż, kalosz?

— Eh! prosę jasnej panienki, ziemio się rozstąp, nie ma i nie ma.

— Daj pokój już kaloszom Bronisiu, niech już idzie, to mu się wytrąci z zasług — mówi oburzona do najwyższego stopnia pani Ludwikowa.

— A ciekawy ja bardzo z cego imość potrąci, bo ja się zgodził tylko na strawne i przyodziewek — odpowiada uśmiechając się głupowato Dydak.

— No, w domu się rozprawimy, a teraz idź na pierwsze piętro, zadzwoń na prawo i spytaj czy państwo przyjmują.

Zasmucony Dydak drapie się na górę, wali z całej siły pięścią we drzwi na lewo, jakiś młody człowiek wypada z furją, wołając: kto tam?

— Ja, prosę jegomości?

— Co za ja?

— No, a ja: dworski jasnej sędziny i jasnych sędzianek.

— Czego ty chcesz?

— Ooo czego? — niechno jegomość otworzy to powiem.

— No mów — woła pokazując się we drzwiach młodzieniec.

— Oto moje imoście pytają, cy tu nie tu teraz!

— Ale gdzie? jak?

— A juści cy tu?

— Nie tu! — krzyknie zagniewany lokator i zamyka drzwi przed nosem.

Lecz nasz rygorzysta znowu szturmuje z całej siły; młody człowiek wylatuje z cybuchem i zamierza ściągnąć po plecach natręta, lecz ten podaje mu ze trzy bilety do ręki i kłania się najniżej.

„Ludwik i Teresa z Trzepalskich małżonkowie Lińscy z Heleną i Bronisławą córkami“ czyta głośno z biletu, będącego dowcipnym a oszczędnym wynalazkiem samego pana Ludwika.

— To na drugą stronę zapewne — odpowiada uśmiechając się młody człowiek, i oddaje napowrót Dydakowi bilety.

— Wszyćko jedno prosę pana: kazali dać, ja dał — i zmyka szybko na dół.

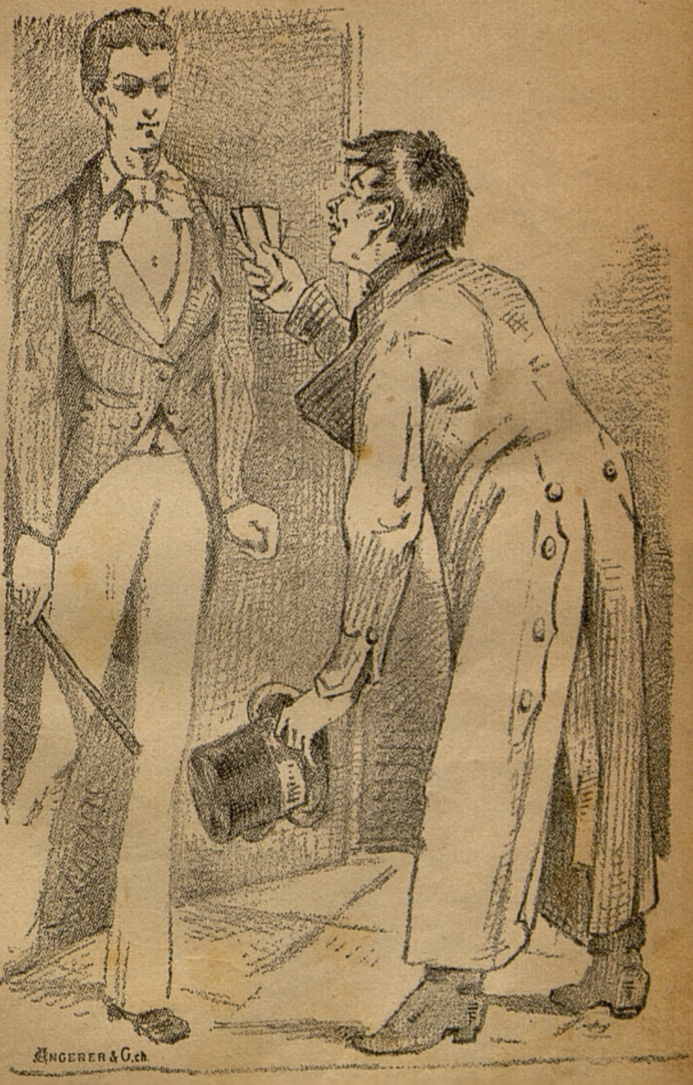
— No i cóż, przyjmują? — pytają zniecierpliwione kobiety.

— Kaduk ich ta wie, prosę jasnych panienek — wzięli kwitek, słowa nie rzekli...

— Więc ich nie ma w domu?

— A bo ja wiem, cy są, cy nie ma.

— Zapewne nie ma kiedy bilet wzięli — mówi Helenka — pójdźmy dalej. Lecz zaledwie po-



...nasz rygorzysta podaje mu trzy bilety do ręki i kłania się najniżej... (Str. 20, t. III.)

stąpiły kilka kroków, otwiera się okno piętrowego mieszkania i sama pani zaprasza najuprzejmiej przechodzące kobiety. Wracają się więc co żywo do bramy, i wtedy dopiero spostrzegają rozdarty surdut Dydaka.

— Widziałeś ty Dydak — odzywa się zgorszona pani Ludwikowa — surdut masz z tyłu rozdarty.

— Gdzie? — pyta ciągnąc tylne poly przed siebie.

— Ot tu, tu — pokazuje Bronisia na bielącą się watę.

— Eh! ja to już widział prosę imości, dyć to nic strasnego: zesyje się doma!

— Ale jak możesz chodzić tak obdartym.

— Prosę imości jagem był na plebanji, to nieraz guńka mi się gorzej rozwalila, a ja chodził; mnie to wszyćko jedno.

— Głupiec — bąknęła mama — myśli że my go dla niego samego ubieramy; poczekaj, zapłacę ja ci ten wstyd w domu — i weszła do pokoju.

Dydak tą razą już został w przedpokoju, a myśląc ciągle o owem złamaniu się parasolki, dobył nożyka, obejrzał rączkę, i chociaż złamanie było takie, że skówką możnaby je najlepiej zreperować, on po swojemu zastrugał jeden i drugi koniec laseczki jak do spajania biczyskowych przystawek, wynalazł trochę nici, skręcił je w dratewkę, wy-

smarował smołą oblegającą podkólek, i w pół godziny ukończył robotę. Obie części złamanej laseczki wprawdzie trzymały się mocno, lecz czarna dratewka zanadto źle odbijała przy ślicznej białości drewienka, naśladującem kość słoniową. Ale nasz sprytny kamerdyner wcale tego nie widział; on tak był uszczęśliwiony reperacją, iż co chwila zaglądał dziurką od klucza, rychło tam wyjdzie panna Bronisława, aby się mógł pochwalić przed nią swoją majsterką.

Nasze znów panie zastawszy liczniejsze niż gdzieindziej towarzystwo w salonie, rozprawiają z całą energją cycerońskiej wymowy o przygodach warszawskiego życia. Właśnie teraz idzie rozmowa o osobliwościach naszej stolicy.

— Były też panie w Wilanowie? — pyta jakiś młody człowiek Bronisi.

— A byłyśmy, byłyśmy, powozem pani hrabiny.

— I podobały się też pannom obrazy?

— Oh! bardzo podobały: jaka to tam gładziutka posadzka, szyby w oknach prześliczne. Wystaw sobie pan jak spojrzałam w zwierciadło, od stóp do głów się zobaczyłam.

— A gabinet zoologiczny zwiedzały panie?

— Ze trzy razy nawet.

— Dobór egzemplarzy ładny? Podobno powiększony śliczną kolekcją owadów z gąsienicami.

— A pfe, nie mów pan o gąsienicach; na sa-



...zastrugał jeden i drugi koniec laseczki
i w pół godziny ukończył robotę. (Str. 22, t. III.)

mo wspomnienie tego robactwa, aż mi się niedobrze robi.

— Z jakiej przyczyny?

— Bo się boję gąsienic.

— A zwierzęta ładne?

— Bardzo ładne; co tam za porządek, proszę pana: parasolki odbierają przy drzwiach za biletami i to za darmo.

— To dlatego zapewne, żeby ktoś przez nieostrożność nie stłukł szyby, lub nie zniszczył jakiego egzemplarza.

— Ale, zkąd znowu? to przez grzeczność tylko: w Warszawie wszyscy tacy uprzejmi, nie chcą zatrudniać dam noszeniem parasolek, gdzie słońca nie ma, więc odbierają.

— W kościołach piękne obrazy?

— Nie bardzo, bo takie zaczernione, duże; ale za to na Senatorskiej ulicy w sieni, prześliczne; np. jakto złe duchy mają porwać do piekła umierającego skąpca, to powiadam panu, pod postacią najrozmaitszych gadów, wężów, jaszczurek, buchają płomieniami, syczą, a skąpiec wytrzeszcza oczy straszliwie, łapie ręką za worek z pieniędzmi... Ach! żeby pan wiedział, jakie to okropne!? Albo znowu jak zając wskoczył na piersi śpiącemu pod drzewem myśliwemu, to takie komiczne, żeśmy boki zrywały od śmiechu.

— A w teatrze często panie bywały? — egzaminuje dalej uśmiechając się ironicznie młodzian.

— Nie bardzo często: coś ze dwa razy w Wielkim, w loży pani radczyni, i w Rozmaitościach raz podobno; bo mówili nam, iż nieprzyzwoicie chodzić młodym pannom na komedje; czasami takie tam przedstawiają głupstwa, iż doprawdy dziwię się, jak to można trzy godziny siedzieć w takiej spiekocie pomiędzy żydowstwem...

— Jakto? więc panie chodziły na paradyz.

— Ale nie, do krzeseł — odpowiada, czerwieniąc się po same uszy Bronisia — tylko proszę pana, z góry tam wszystko leci ten zaduch...

— I cóżto się pani tak nie podobało w małym teatrze?

— Eh, jakieś kobiety z kamienia; bo mój panie stawiają jakieś posagi, gadają do nich jakieś niby czułości, modlą się, to nie po chrześciańsku. Mama znów opowiada matce gospodyni, staruszce ciekawej, gadatliwej, lubiącej wszelkie nowinki, o pani hrabinie, o jej pokojach, lokajach, anonsowaniu, pojeździe, którym jeździły do Wilanowa, o strasznej drożyźnie, szczególniej metrów do muzyki, bo ona sama płaciła za godzinę śpiewu po dukacie.

— Ale — odzywa się staruszka — muszę też powiedzieć pani jedną nowinkę: przybywa nam tu nowe małżeństwo w okolicy.

— Któż taki się żeni? — pyta zainteresowana pani Ludwikowa.

— Marszałkowicz...

— Co! marszałkowicz? — zawołała blednięjąc mama.

— On, moja pani, on, ktoby się to spodziewał; taka partja dobra wymknęła nam się z miasta.

— Z kimże się żeni? — zapytuje trochę swobodniej, starając się pokryć niemiłe wrażenie.

— Z tą, z tą, z tą... jakże się nazywa?... co to była u państwa na imieninach...

— Z sędzianką Brzostką?

— Nie, nie; z tą porucznikówną.

— Co! z porucznikówną? — wybuchnie jeszcze gwałtowniej z zaiskrzonem okiem pani Ludwikowa. — I to na serjo?

— Na serjo, na serjo; podobno były już zaręczyny.

— Ach, to dopiero mazgaj ten mój Ludwik — krzyknie zapominając się zupełnie.

— Mąż pani, co? a cóż on takiego zrobił?

— Eh! nic, tylko kazał dawać obiad o drugiej i my zmuszone jesteśmy pożegnać tak miłe dla nas towarzystwo; ale spodziewamy się, że państwo o nas nie zapomnicie!

— A naturalnie, że nie — odpowiada chórem gospodarstwo, wyprowadzając do drzwi przedpokoju swych gości.

Dydak tą razą okrył je dobrze burnusami, porwał kapelusz, wsadził weń wszystkie ingredjencje, roztworzył zreperowane arcydzieło i wetknął je do ręki Bronisi mówiąc:

— Już teraz to się nie prędko stłucze, chwyciłem galanto dratewką.

— A pójdźże sobie precz z twoją dratewką! — krzyknęła taż odpychając podawaną parasolkę.

— Poczekaj ty, ty, ty... — odezwała się z furją mama — tylko wrócimy do domu, każę ja ci ze trzydzieści batów przylepić za ten wstyd.

Ubodło to jakoś naszego Dydaka, bo potrząnąwszy głową, został się dobrze w tyle, mrucząc:

— Ale, ale, będę ci ja ta cekał, zobacys! Patrzcie ją, wstyd, wstyd: trzydzieści batów! Cóż to ja parobek dworski, cy rataj? nie twoje docekanie!

Ale w skutek dalszej refleksji, snać uważał te pogróżki nieprawdopodobnemi, bo wydobywszy znowu nożyk, z całym pośpiechem zaczął obrzynać największe guziki od swej liberji, chowając je do oddzielnej kieszeni, albowiem przypomniał sobie, iż doskonale będą śpilować przy jego świętalnym krakowskim pasiku.

Panie coraz to prędzej biegły ku domowi, rozdrażnione tyle niepomyślną wiadomością o zaręczynach pana Antoniego. Dydaczysko i chciał podążać za niemi i obrzynać pozostałe guziki, więc

nie patrząc przed siebie jedną razą potyka się na trotuarze, pada jak długi na kamienie, druzgocze w drobne kawałki parasolkę, i zbija sobie nos najokropniej.

— O żeby cię wsyscy wciornascy zatratowali! — woła podnosząc się z rynsztoku; zbiera skwapliwie rozrzucone szczątki parasolki, szuka kapelusza, podkólka i nożyka, a tymczasem krew ciurkiem prawie wali mu się z nosa. W pośpiechu, wydobywając chustkę z tylnej kieszeni, rozrywa do reszty liberyjny surdut; chce ją do nosa przyłożyć, lecz mu żal tak pięknej kraciastej chustki, więc rozpostarłszy ją na trotoarze, umieszcza w niej parasolkowe drzazgi, kładzie kapelusz wszelako na bakier, i przytrzymując go lewą ręką, w której ma już pódkólek, kalosz i ową chustkę, prawą podnosi od końca połę swego surduta, i podszewką przykłada do nosa, dla zatamowania lejącej się nieustannie krwawej strugi.

Panie się oglądają gdzie im się podział Dydak a on tymczasem w opisanej postawie, z podniesioną do góry połą surduta, goni co tchu za niemi.

— Nie chodź, nie chodź — woła przestraszona mama.

— Ach! pfe Dydaku, puść tę połę!

Lecz on tego nie słyszy, idzie jak niemy, a za nim biegnie czereda miejskich chłopaków, przeku-

pek, żydów, studentów, śmiejąc się do rozpuku i pokazując sobie zrozpaczonego lokaja.

Nareszcie cała ta kalwakata przyciągnęła pod mieszkanie państwa Lińskich. Dydak wpada do kuchni, porywa czemprędzej swą dawną guńkę z czerwoną czapeczką, i jak strzała powraca znów na ulicę. Pan Ludwik w kropkowanym szlafroku i cybuchem w ręku za nim; Dydak w nogi, a ciekawa hałastra śmiejąc się serdecznie, przekupki klaskając w dłonie, towarzyszą im aż w drugą ulicę. Pędzony lokaj rzuca naprzód kalosz, chustkę z parasolką i kapelusz; po kilku krokach but jeden, później drugi; dalej niebieski surdut z trzema guzikami, wreszcie białe rękawiczki.

Pan Ludwik zbiera to wszystko coraz bardziej zaperzony, lecz nie wstrzymuje pogoni. Dopiero nasze zziajane Dydaczysko, czując się swobodniejszym we własnem ubraniu, przeskakuje chyżo za płot ogrodu, potrząsa grzywiastą czupryną i zastawiając się owym podkólkiem, krzyczy na całe gardło:

— No sprobuj, sprobuj, ciarachu!.

— A ty jakiś... zapłać za te szkody — woła zatrzymawszy się pan Ludwik, cały zapieniony od gniewu i zmęczenia.

— A bo ja to nie służył, co?

— A żebyś ty kroć djabłów zjadł z taką służbą! Pójdź tu zaraz.

— Kroć nie kroć, prosę pana — odpowiada junacko Dydak — za słuzbę dziękuję i nie pójdę.

— Hej chłopcy! kto żyje, łapać go! — Lecz nikt się nie kwapił z pomocą, a pan Ludwik sam nie śmiał; więc nakrzyczawszy się porządnie, nakląwszy i nawymyślawszy chamowi, rad nie rad zrobił lewo w tył ku domowi, dźwigając podarte efekta trzygodzinnej JWej służby kamerdynera.

Dydak zaś ubrawszy się w guńkę, włożywszy na bakier czerwoną czapkę z pawiemi piórami i galanty krakowski pasiczek, wstąpił do karczmy, przewrócił półkwaterek, a otarłszy gębę, puścił się wprost do swojej zagrody, mrucząc przez zęby:

— Mas tobie Dydacku dworską służbę: jeść nie dali, skrzyceli, ogrzmocić chcieli i za co? Tfu do wciornaskich! — zawołał splunąwszy przed siebie — nie było ci się odziewać w takie kaducne pęta; trza było w guńce, toby człek wsystkiemu podołał! A tu scypie — mówił pokazując rękę — a tu pije — i złapał się za pachę — a tu się mytli po nogach, a tu leci z głowy. Tfu! jesce na taki pzyodziewek! Pójdę do jegomości, pochwycę za nogi, i niech co chce będzie, wolę u niego za fornala, aby po swojemu i u swoich!

Pani Ludwikowa znowu wróciwszy do pokoju, i rozbierając się z jakąś gorączkową żywością, mówiła:

— Oh nie daruję, oh nie daruję tego! wołała,

uderzając ręką o rękę, i chodząc z całą żywością po pókoju. — Już ja wiem jak to się stało! Ta pedantka uwikłała go w serdeczne sieci, podstawiając pyzowatą córeczkę. Ale ty, ty, malowany mężu, byłeś tu, patrzałeś na to, i pozwoliłeś wymknąć się takiemu ptaszkowi.

— Ależ moje życie, ja nie miałem czasu.

— Milcz stary guzdrało, jesteś do niczego! Gazetkę czytać, rozwalić się na kanapie, pleść głupstwa jak na mękach, do tego to chwat mężulko — mówiła dalej z szyderczym przekąsem. — Ale pamiętać o szczęściu dzieci, o poświęceniach żony która jak niewolnica jaka poniewierała się po zajazdach warszawskich, na to czasu nie było!?

— Moja Tereniu! — odrzekł płaczliwie pan Ludwik — alboż ja to nie pracuję jak wół dla szczęścia waszego? Czy myślisz, że podobny cios i mnie nie obchodzi; a trzy tysiące, hę?

— Idź na próbę śpiewu, idź do handlu z twojemi trzema tysiącami niedołęgo!

— Kiedy-bo ty jesteś bardzo niewyrozumiała: mówię ci, nie chciał przyjechać do mnie ani razu. Ja prosiłem, błagałem: obiecywał i na tem się kończyło. Wiem tylko, iż Wolicki go ciągnął i ciągnął; porucznik co drugi dzień zajeżdżał, stary szalał za dziewczyną do tego stopnia, iż przed tygodniem nastąpiły podobno oświadczyny.

— Wszystko stracone! jak mi Bóg miły, stra-

cone! — krzyknęła rozpaczliwie czuła małżonka — lecz się i zemścić potrafię na tej intrygantce — dodała po chwili z taką zajadłością, iż ogień prawie a nie słowa wylatywały z jej bladych usteczek. — Pojadę, zwymyślam, z błotem zmieszam i tak będę dokuczać, że mię popamięta! Ludwiku poślij po konie!

Przestraszony mężulko niezwykłym gniewem szanownej połowicy, już się nie namyślając, porwał czapkę, nacisnął na uszy, i wybiegł dopełnić żądania rozdrażnionej kobiety. Niebawem wrócił na lichej bryczulce, zaprzężonej dwoma małemi konikami; panie wsiadły bez żadnych przygotowań, tak sobie w zwyczajnych sukienkach, i ruszyły do porucznikostwa.

Już była może czwarta godzina po południu, gdy nasze imoście zajechały przed ganek domostwa poczciwego komendanta. Usłyszawszy turkot na ulicy, matka i córka myśląc, iż przyjeżdża marszałkowicz, spojrzały znacząco na siebie i zabierały się do wyjścia. Ale porucznik pojąwszy ich zamysł, powstał nagle, chwycił Julkę za rękę i groźno przemówił:

— Ani krokiem!

— Ja chcę się przebrać, mój ojcze.

— Nie potrzeba, moja panno; wiem ja dobrze, co wam po głowach się roi. Ale to nie ze mną.

Przystałaś, to dotrwaj do końca, żeby nie mieć za baj bardzo ojcowskiego słowa.

— Czekajno Jędrusiu — wołała zakłopotana żona, ciągnąc za drugą rękę Julkę.

— Nie czekajno, moja imość! Buntujesz mi dziecko i basta! Ale żebyś ty miała głowę jak pudło, a w tem pudle dziewięćdziesiąt i dziewięć głów, mosanie nic nie pomoże. Dość już tych manewrów: wiedz moja imość, że ja ojciec, ja pan, rozumiesz? — rozumiesz krzyknął donośniej, wyciągając w tył ręce i nachylając się z ognistym wzrokiem ku jej twarzy.

Wtem otwierają się drzwi pokoju, i wchodzi uśmiechnięta złośliwie pani Ludwikowa, a za nią dwie już nam znajome córeczki.

— A! powitać szanowne panie, powitać z podróży! — zawołał radośnie porucznik, upuścił fajkę i skoczył ucałować rączkę przybywającej.

— Ach! jakże się panie mewają? — zawołała z kolei porucznikowa, ściskając nasze panie. — Jak wyładniały, jak wyrosły; siadajcież panie, proszę dalej! — I wprowadziła je do bawialnego pokoju. Julka poznawszy w przybyłych swe znajome, podwójnie ucieszona, z całem wylaniem młodzieńczego serca rzuciła się w objęcia Bronisi, chcąc ucałować ją po dawnemu, lecz nasza elegantka odepchnęła lekko cisnącą się dziewczynę, poprzestając na nadpowietrznym całusie, w którym

mimo całego wysilenia szczerości, malowała się tylko zimna ceremonja. To już powstrzymało Julkę w dalszych uniesieniach: spuściła smutnie swą piękną główkę, usiadła markotnie obok panienek z miną dziwnie zakłopotaną, nieśmiałą i nadzwyczaj niezgrabną.

Porucznikowa również dostrzegła większy niż zwykle przymus w całem obejściu się pani Ludwikowej, lecz jako starsza, doświadczeńsza, starała się ile możności nie widzieć tego, a przynajmniej nie dać poznać iż widzi. Tylko stary komendant z całą żywością swego charakteru nadskakiwał, dopytywał się o zdrowie, powodzenie, nowiny, podróż i tym podobne drobnostki, oznaczające prawdziwą radość z oglądania osób, które są nam miłe i pożądane, a których dawnośmy nie widzieli. Helenka zaś, jako najmniej interesowana, cokolwiek życzliwiej i serdeczniej rozmawiała z Julką rozpowiadając jej to wszystko, co tylko zapamiętać mogła z dwu-miesięcznego w stolicy pobytu.

Na twarzy pani Ludwikowej malowała się dziwna złośliwość, wstrzymywana tylko uprzejmem przyjęciem gospodarstwa, szczególniej porucznika. Z nieukrytą radością i zajęciem słuchał on licznych pochwał, sypanych hojnie dla biednego pana Tomasza, zacierał ręce śmiejąc się poczciwie i dogadując: — A co, nie powiedziałem, hę, moja szanowna pani!! To człek bez kości, mosanie, pra-

wy, usłużny, przyjacielski; duszęby oddał każdemu. A synek jego Juljusz jak się tam miewa? — zapytał zwracając się do pani Ludwikowej.

— Tak, przystojny sobie chłopiec; dziecko to jeszcze, naiwny, ale wcale grzeczny; i jeżeli prawdę mam powiedzieć, daleko milszy od tego, tego, jak on to się nazywa....

— Metra muzyki i śpiewu, pana Adolfa? — odezwała się Bronisia.

— Ale nie; tego z Ukrainy, marszałkowicza.

Porucznikowa i Julka drgnęły widocznie na taką zaczepkę; lica komendanta pokrył rumieniec oburzenia, lecz wszystko troje udali, że tego nie słyszą, a porucznikowa nawet zwróciła rozmowę na inny przedmiot. Lecz nie tak łatwo można było pokonać zawistną nieprzyjaciółkę: co chwila wtrąciła jakieś gryzące słówko, i to coraz jaśniej, coraz dobitniej, że zarumieniona po same uszy Julka, musiała wyjść z pokoju. Porucznik przygryzał wąsa, poprawiał się na krześle, krząkał; żona zaś zdawała się nie pojmować znaczenia tych docinków, śmiała się nawet z panią Ludwikową, którą podobne usposobienia jeszcze bardziej rozjątrzały.

— A słyszałam też o wielkiem szczęściu, jakie spotkało pannę Julję — przemówiła pani Ludwikowa, przeszywając biedną matkę bazyliszkowem spojrzeniem.

— O czem to pani dobrodziejka chce mówić? — zagadnął marszcząc się porucznik.

— Nibyto państwo nie wiecie? Przyznam się to nie po przyjacielsku taić; wszak panna Julja podobno oświadczyła się marszałkowiczowi.

Porucznik jak oparzony zerwał się z krzesła, wytrzeszczywszy oczy; chciał coś odpowiedzieć, lecz gniew i zadziwienie odebrały mu mowę.

— Prepraszam panią bardzo — odezwała się porucznikowa, siląc się spokojną postawą pokryć ile możności trawiące ją oburzenie; — ale podobno myli się w tem pani; moja córka nikomu się nie oświadczała.

— Wszakże cała okolica to wytrąbuję!

— Chyba przez taką trąbę, jaką wasani jesteś! krzyknął odskakując na bok porucznik.

— Panie! proszę umiarkować swoje grubiańskie zapały — odezwała się pani Ludwikowa powstając z kanapy — znamy się dawno: rozumiem dobrze taką komedję.

— Co wasani mówisz, u miljon furbeczek kartaczów bomb! komu to? do kogo to, hę? — zawołał jeszcze głośniej cały zaperzony, przysuwając twarz swoją prawie po pod nos Lińskiej, i wyciągając ręce za siebie.

— Ależ mężu, daj pokój, co robisz! To goście twoi! — mówiła porucznikowa odciągając go na

bok. — Ubliżają ci we własnym domu, ależ zważaj, kto?

— Ja, moja pani weteranowo, ja sędzina, ja wnuczka księdza biskupa; ja, która nie cierpię obłudy — wrzeszczała pryskając śliną Ludwikowa.

— Milcz babo! — wołał wydzierając się z ręki żony komendant — bo jak mi Boga potrzeba przy śmierci, wyrzucę z bebechami het, precz na cztery wiatry!

— Otóżto mi jest gościnność, to przyzwoitość, to uszanowanie dla kobiet, — mówiła z przekąsem Lińska machając ręką. — Dzieci, pójdźcie! noga moja w tym domu już więcej nie postanie.

— Właśnie jest to nasze życzenie — odrzekła porucznikowa, trzymając wciąż męża — pani uprzedziłaś tylko nasze chęci, i wdzięczna jej za to jestem nieskończenie.

— Tak, tak, wynoś się natychmiast! precz! — krzyczał porucznik wyrwawszy się żonie i roztwierając gwałtownie obie części drzwi wychodowych.

— Kłaniam uniżenie, kłaniam i winszuję łapanego zięcia; moi uczciwi i honorowi państwo, cieszcie się owocem intryg, niech wam to idzie na zdrowie!

— A będziesz mi ty cicho, do miljon fur beczek, bo!...

— Co bo? — krzyknęla już za drzwiami Lińska, stawając junacko przed porucznikiem.



...obie kobiety trzymały go mocno, matka za ręce, a Julka za nogi... (Str. 37, t. III.)

— Jędrusiu! dlaboga, co robisz!? — wołała żona.

— Tato! tato! mój ojcze drogi, daj pokój!

— Puśćcie mię do kroć djabłów! Ja jej tu dam! A poczekajno sekutnico!.... Puszczać do miljon fur beczek! No, bo jak Boga kocham, jak się rzucę... — Lecz obie kobiety nie zważając na groźby i wysilenia, trzymały go mocno: matka za ręce, a Julka za nogi, która z płaczem, przestrachem i krzykiem leżąc na ziemi, zatamowała mu wyjście.

— Ależ wstydź się Jędrusiu; a fe! kto to widział, to nie honorowo: porucznik wojować z babami...

— Masz rację imość! — odrzekł smutnie zamykając drzwi — zapomniałem się, ale poczekaj! To dopiero kuta baba na wszystkie cztery nogi, mosanie! to sekutnica, jakiej świat i korona nie widziała.

— Umitygujno się, Jędrusiu; patrz, ja się śmieję z tego; najoczywiściej, zazdrość przez nią mówi.

— To śmiej się wasani, do miljon furbeczek, ale we mnie wszystkie bebechy się gotują! — zawołał przesyłając oknem siarczyste spojrzenie i groźby odjeżdżającym. — Niechno ja cię dostanę w moje ręce...

— Ależ to przez zazdrość, że jej się wymknęła taka partja.

— A niech go sobie bierze, przez miljon furbeczek, kartaczów, djabłów, a niech mi da pokój. Bierz sobie cały powiat marszałkowiczów; ja nie chcę ani słyszeć o żadnym zięciu, choćby on cztery korony posiadał. No, patrzajno imość, tyle zgryzoty, tyle kłopotów, potrzebne to wszystko, hę?

— A cóż, nie mówiłam, nie perswadowałam, że tak będzie; wierz mi, to początek dopiero; potrochu, potrochu, zobaczysz więcej.

— Nie chcę, nie chcę, jak mi Bóg miły: zrzekam się wszystkiego! Dymisję biorę, uciekam z tych stron, niech ich tu siarczyste ogniste...

— Otóż, aby raz dobrze postąpisz, Jędrusiu: nie turbuj się, jak zerwiesz z marszałkowiczem, wszystko ustanie; po co dymisję...

— A! dziękuję ojcu serdecznie, dziękuję, — przemówiła radośnie Julka, całując go w obie ręce, i skacząc po pokoju wołała: — nie pójdę za marszałkowicza, nie pójdę, nie pójdę!

— Atande! moja mościa panno, atande! Nie wołaj hop, nim nie przeskoczysz!

— Jakto, tato?

— Tak to, że pójdziesz i kwita! — krzyknął zaperzony porucznik machnąwszy ręką.

— Daj mu pokój Julciu, niech się wygniewa — odezwała się matka, ciągnąc ją za rękę.

— Imość! — zawołał porucznik zatrzymując gwałtownie żonę — dalibóg, ja ci powiadam nie burz



...a to... Tomaszek! — krzyknął na całe gardło, chwytając w swoje objęcia eks-kontrolera... (Str. 39, t. III.)



mi dziewczyny; bo jakem porucznik, jak honor mój kocham, takiego wam tu narobię bigosu, że mię popamiętacie. Pókim dobry, to dobry, ale jak mię kto rozdrażni, to nie bój się, mam ja swoje sztuki. Coto moje słowo bańka na wodzie, ślina w, babskich ustach, co?

— Ktoś znowu zajeżdża — przerwała najobojętniej porucznikowa, zobaczywszy zataczający się lekko wózek przed sień domostwa.

— To jacyś nieznajomi panowie — dodała Julka.

— A czy ich tam kaduk niesie! — przemówił krzywiąc się niesmacznie komendant. — Czy jaki feralis dzisiaj, czy co z temi gośćmi. — Wszelako poprawiwszy wąsy, pogładziwszy łysinę, stanął przy drzwiach z miną aż nazbyt obojętną.

Z wózka tymczasem wysiadło trzech nam znajomych panów z Warszawy. Rygorski stary, nim wszedł do sieni, obejrzał gruszkę stojącą przed oknem, popatrzył na domek i caly dziedziniec magazynowy; zażył tabaki, wyprostował pogięty surdut, a wziąwszy pod rękę nowego przyjaciela z podróży, sięgnął śmiało do klamki:

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula*.... odrzekl porucznik. patrząc wytrzeszczonemi oczami na wchodzącego. — A to... a to... Tomaszek! — krzyknął na całe gardło, chwytając w swoje objęcia poczciwego eks-kontrolera, który krztusząc się niemiłosiernie wykręcał twarz

na obie strony, czując dotkliwe kłucia włosami nieogolonej brody porucznika.

— A to ty! co? Tomaszku?

— Ja, ja, mości dobrodzieju; ja!

— Matko! Julka! pójdźcieno tu mosanie! oto ten sam pan Tomasz Rygorski, mój kolega, przyjaciel.. A niechże cię Bóg sekunduje, żeś mi taką zrobił niespodziankę. A pójdźmy dalej, no, proszę cię.

— Czekajno Jędrusiu — odrzekł wysuwając mu się pan Tomasz — muszę ci zarekomendować pana Wiśniewicza, mego znajomego i przyjaciela.— A to — mówił wskazując na Juljusza..

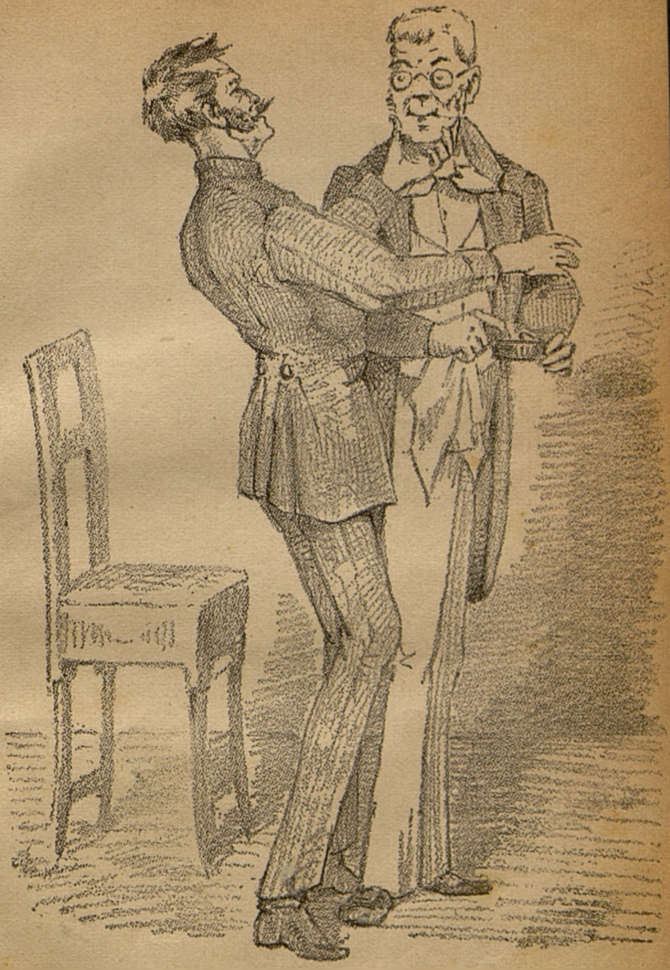
— Portrecik Urszulki... pewno syn.

— Tak, tak, jednak mościu dobrodzieju: przedstawiam go paniom.

Ale porucznik już wciągnął go za sobą do bawialnego pokoju, usadził na kanapie, pobiegł do woźnicy, zarządził stajnią, kazał przygotować kolację, a wróciwszy uradowany, wykręcał do światła na wszystkie strony biednym eks-kontrolorem, dogadując:

— Djablo się mosanie zestarzałeś, Tomaszku, o djablo!

— Tak, tak, mości dobrodzieju; lat nam nie ubywa obydwom: i ty panie Jędrzeju na młodzika nie wyglądasz?!



...wykręcał na wszystkie strony biednym eks-kontrolorem, dogadując: djablo mosanie zestarzałeś się, Tomaszku! (Str. 40, t. III.)

— No, ale się trzymam nieźle, co? — odrzekł prostując się frontowo porucznik.

— Głowa wyłysiała — dorzucił pan Tomasz.

— Mniejsza mosanie o wierzch, ale tu jest cała — mówił pokazując palcem po czole.

— Niezupełnie — dorzuciła cichaczem żona.

— Idźno wasani do garnków, a nam nie przeszkadzaj — ofuknął gniewliwie.

— A powiedzno, a gadajno, cóż tam, jak tam... co cię tu sprowadza; hę? Bo widzisz, jabym to wszystko naraz chciał usłyszeć!

— Nudno było w Warszawie, to sobie tedy mości dobrodzieju mówię: odwiedzę Jędrusia i oto wyjeżdżam...

— Niechże ci tam Bóg sowicie odpłaci, mój dobrodzieju, żeś też o starym nie zapomniał. Bo też widzisz, mosanie, co ja tu mam kłopotów, to tylko Bóg jeden święty wiedzieć raczy.

— No i cóż takiego? — zapytał troskliwie pan Tomasz.

— Żebym ci je chciał wszystkie wyliczyć, do jutrabym nie skończył; zewsząd się rwie, wszystko się spika, wali, gniecie, dławi; ot tak, póty!...— dodał przeciągnąwszy palcem po gardle. Ale o tem potem: ot zjedzcie co, moi panowie, boście zgłodzeni mosanie; w młodym wieku to apetyt na zawołanie.

Juljusz i młody inżynier przypatrując się uwa-

źniej porucznikowi, rzucali ukradkowe spojrzenia na pannę Julją, rumieniącą się po same uszy: więc usłyszawszy wezwanie porucznika, pierwszy z nich odezwał się nieśmiało:

— Jużeśmy po obiedzie, dziękujemy bardzo, dopiero 6ta godzina.

— Coto znaczy mosanie, głód na godziny nie patrzy; u nas wojskowych jak we wszystkiem porządek wielki, tak w jedzeniu nieład; nie róbcie ceremonji, jedzcie co Bóg dał. Pamiętasz Tomaszu jakto było w Krakowie, kiedyśmy się dorwali czasem kawałka chleba, to go się mosanie piło a nie jadło.

— Oho, pamiętam Jędrusiu, pamiętam; a to sztuczne pierze, coś go to żydom sprzedawał, mości dobrodzieju...

— Eh! daj tam pokój o pierzach: ot lepiej zabierz się do jedzenia.

Po wieczerzy zaraz porucznikowa wraz z Julką wyprowadziła młodych gości na spacer. Pan Stanisław Wiśniewicz, człowiek wszechstronnie ukształcony, potrafił zająć obie kobiety, prowadząc z największą łatwością towarzyską rozmowę, i niezwykle się zadziwił, znalazłszy w takim zakątku kobiety, posiadające tyle różnorodnych wiadomości. Juljusz znowu, choć to miał się niby za coś lepszego od zwykłej młodzieży prowincjonalnej, tą razą zapomniał w ustach języka. Parę razy

próbował zagadnąć do Julki, lecz pomimo widocznych z jej strony usiłowań, urywał się przedmiot, jako ściągający się do szczegółów mało ją obchodzących, a po większej części zupełnie nieznanych.

Porucznik znowu nabiwszy ulubioną fajkę, usiadł z panem Tomaszem na ławeczce ustawionej przed domem, i po kilku ciężkich westchnieniach tak się odezwał:

— Otóż miły mój Tomaszku, twój Juljusz, to walny widzę chłopak.

— Tak, mości dobrodzieju, ujdzie — odrzekł uśmiechając się stary — tylko mój panie Andrzeju, żywe to okropnie, jeszcze młode, nieśmiałe...

— Rychtyk jak moja Julka! Powiadam ci dobrodzieju, wszędzie ją masz; ani tego upilnować: w pole nie w pole, do lasu nie do lasu, biegnie ot; a Zosia się gniewa, że się opali, że się zaziębi; bo to widzisz mosanie te baby to tak dbają o swoją urodę, że dalibóg myślałbyś, Pan Bóg je tylko do ramek stworzył.

— Wiemci ja o tem, panie dobrodzieju, wiem — wyrzekł pan Tomasz zażywając tabakę dość głośno, i myśląc o rozpoczęciu bliższej rozmowy, za którą tu przyjechał. Ale porucznikowi widać się nie podobały te zadługie wciągania, bo obróciwszy głowę ku niemu, uśmiechnięty zawołał:

— Co też to za niepiękny zwyczaj ta tabaka!...

— Wcale nie lepsza mości dobrodzieju od fajki — przerwał nieco urażony pan Tomasz, machając chustką przed sobą. — Bo proszę ja cię, mój mości dobrodzieju, na co to z ust robić komin?

— Ależ przyznasz kolego, że znowu wolę komin z gęby, jak....

— Ale jak ten komin nie pachnie mości...

— Chyba to nie do mnie pijesz Tomaszku: bo jużciż mój pachnie. Proszę cię, to litera G; na kwartę wody dwie garści drejkenigu, 15 kropli peruwiańskiego, filiżankę czarnej mocnej kawy...

— Co to warto, peruwiański, mości dobrodzieju. Jakem był na kolonji, nieboszczka Urszulka, świeć jej tam Panie nad duszą, zakropiła mi raz tabakę peruwiańskim: wystawże sobie tedy ja biorę, wącham — powietrze Jędrusiu; powiadam ci, powietrze. Pytam się tedy, mości dobrodzieju, kto mi się tu dotykał tabakierki? Urszulka mówi ja. A kto ci pozwolił? mówię do niej, a ona: chciałam ci zrobić przyjemność, mówi mości dobrodzieju, i wlałam kropelkę peruwiańskiego. A zkądże to takie niemiłe? pytam ją i wyrzucam tabakę...

— Ma się rozumieć, że z apteki — przerwał niecierpliwie porucznik. Ja mosanie jak kupię uncję...

— Ale czekajno Jędrusiu, bo ty nie wiesz z której apteki.

— Co mi tam mosanie z której, dość, że z apteki w Warszawie! No i cóż tedy?

— Więc ja się pytam z której? Ona mówi ze Starego-Miasta. — Nie może być, powiadam jej, bo ja tam kupowałem dawniej, a wszelako co innego to było; bo widzisz, mości dobrodzieju, przed dwoma laty prowadziłem proces działowy ojca żony tego aptekarza: miałem ci dopiero roboty! Od świtu do nocy lataj, szukaj, proś, a chodziło tu o dużą kamienicę na Podwalu, pod nr. czy 432 czy 234 bo już i nie pamiętam... ale zdaje mi się dwieście.

— Ale o tym olejku—przerwał znów porucznik.

— Wyrzuciłem z tabaką, i basta.

— Ja tam nie wyrzucam co kupuję: stoi choćby do dnia sądnego. Za co się daje pieniądze, niech będzie: może się przydać kiedyś, jak mówi kanonik.

— Co to za kanonik? — zapytał pan Tomasz.

— A ten nasz proboszcz, starowina, co to Jasia uczył.

— Masz tobie, mości dobrodzieju, a toć ja o Jasiu przepomniałem; jakże on się miewa?

— Zdrów chłop, mosanie, jak lew; gospodaruje doskonale, tylko mi trochę przytył.

— A to lepiej, a to lepiej, snać zdrowie samo.

— Cóż z tego mój ty dobrodzieju, kiedy ja tego nie lubię. U mnie mosanie, mężczyzna powinien być jak świeca: prosty, szczupły, jak ja np.

— Szczęśliwyś ty Jędrusiu, żeś go tak dobrze pokierował: bo to miło mieć dzieci; ale nim się je na swój chleb wyposaży, co to trzeba starań!

— Oh prawda, prawda Tomaszku; straszna to zawała te dzieci! Nim to ożenisz, nim to wydasz.

— Eh! już to łatwiej wydać.

— Djabła tam łatwiej, panie kochany: chłopak mosanie sam sobie żony wyszuka, a z córką?

— Córek znowu szukają, mości dobrodzieju — odrzekł westchnąwszy pan Tomasz.

— Tak szukają, ale nie ci, których my chcemy. Moją naprzykład.

— Przecież jej nie wydajesz?

— At właśnie że wydaję.

— Nie może być, mości dobrodzieju! — zawołał zadziwiony eks-kontroler powstając z ławki.

— Albo co? — zapytał znowu porucznik wyjmując z ust fajkę.

— Nic, nic — wyrzekł markotny pan Tomasz. — No, żebym ja to był duchem świętym przewidział...

— A cóż ci to na tem zależalo, Tomaszku?

— Eh, dużo zależało, mości dobrodzieju.

— Siadajże tedy i mów; może znasz marszałkowicza Kozłowicza?

— Cóż to za jeden?

— No, przyszły zięć.

— Nie znam i znać nie chcę, mości dobro-

dzieju! Że też jak się nie wiedzie to nie wiedzie. No, bywaj mi zdrów! jadę.

— Gdzie? — zawołał porucznik zatrzymując go żwawo.

— Do domu, mości dobrodzieju!

— Ależ nie bądź dzieckiem Tomaszu, fe!

— Kiedy ja ci panie powiadam, że się nie odrobi.

— Co się ma znowu odrabiać?

— A to małżeństwo, mości dobrodzieju.

— I cóż ono ci zawadza mosanie? — spytał zaciekawiony porucznik.

— A czy ja to nie mam syna, co?

— Jak mi Bóg miły, nic a nic nie pojmuję.

— Tobie widzę — odrzekł rozgniewany pan Tomasz — jak niegdyś w szkołach, trzeba i teraz łopatą kłaść w głowę.

— E! co tam gadasz dawne rzeczy — odrzekł zapalając się porucznik. Łopatą, nie łopatą mosanie; ale mnie nie obito za dodawanie jak wasana, rozumiesz!

— Powoli, powoli... — przerwał Tomasz.

— Co tam powoli, nie powoli; ale skoro mię wasan na dudka wyprowadzasz...

— Czekajno...

— Nie czekam, do miljon furbeczek! — zawołał gwałtownie porucznik — moja głowa nigdy mosanie nie była szaflikiem, ani taczkami, żeby w nią łopatą kladli, rozumiesz!

— Ależ dajno mi skończyć mości dobro...
— Nie dam, nie dam, do kroć...
— To niech cię Bóg sekunduje i z twoją rączką, mości dobrodzieju! Bo jeżeli twoja c taka porywcza, toby mi zamęczyła chłopaka...
— A jeśli twój syn taki jak i ty mosanie, niech was razem...

I zacisnąwszy za sobą ręce wraz z trzym fajką, biegał porucznik naokolo gruszki spluw co chwila, gdy zasępiony pan Tomasz, spuści głowę pukał w tabakierkę, jakby w niej wy kiwał stosownej odpowiedzi.

W takiej więc postawie zastała ich wra porucznikowa, i przyznać musimy, zdziwiło j zmiernie podobne zaperzenie serdecznych przyja

— Cóżto panowie tak stoicie do siebie?— tała stawając między nimi.

— A cóż? ot mi gada o jakichś łopatach, m sanie, chce jechać Bóg wie gdzie i po co?

— Ale bo to widzi łaskawa pani dobrodzi tak było: ja tu, mości dobrodzieju, przyjech z tym zamiarem, żeby oto tak... połączyć te z t tak oto mości dobrodzieju po przyjacielsku... I nie śmiejąc dalej mówić, stary kontroler p bliżał i oddalał tabakierkę z chustką trzyn w obu rękach.

— No, kogo? co? jak? powiedźże choć raz

—

— Chustkę z tabaką! — krzyknął porucznik. Utrzej waść nos, to się i połączą!

— Proszę pani dobrodziejki, ja się tu z nią samą muszę rozmówić, bo z nim nie ma rzeczy, mości dobro...

— Dobrze — odrzekła porucznikowa — proszę pana do pokoju.

— Ot to to to, ot to to to — krzyknął uśmiechając się złośliwie porucznik — oboje pewno się rozmówicie; krzyżyk na drogę! Dalej, dalej, moja żono...

— Chcesz Jędrzeju, to pójdź i ty; sekretów nie mam, tylko pozwól mi wypowiedzieć wszystko — odezwał się ex-kontroler w obawie, żeby go nie posądził o jakie zmowy...

— Nie chcę, nie chcę; idźcie sobie z panem Bogiem; nie mam czego zazdrościć, milsze mi zdrowie nad wszystko, a z wami toby mi ze dwa garnce krwi ubyło...

— Zdałoby się — szepnęła porucznikowa — gniew opada; proszę pana do pokoju.

— Otóż widzi pani dobrodziejka — mówił jeszcze roztargniony pan Tomasz siadając przy oknie i oglądając się na wszystkie strony, czy kto nie słyszy — przystępuję, mości dobrodzieju ad rem: mam syna jedynaka, chłopiec już urósł pod powałę...

— A przystojny i miły bardzo — przerwała porucznikowa.

— Dziękuję pani, dziękuję. Oto myślałem sobie: czas go ożenić, i dawno to sobie ułożyliśmy jeszcze z nieboszczką Urszulą, której niech tam Bóg da wieczne odpoczywanie, mości dobrodzieju, żeby tak oto po znajomości tedy, prosić państwa dobrodziejstwa o pannę Julję, a tu jak na złość już...

— Jeszcze nie, kochany panie — przerwała porucznikowa.

— Jakto nie? wszak mi Jędruś powiedział...

— Eh! co on tam mówi, aby mówić! Chce dziecko sprzedać za jakąś starą szlifę i słowo honoru zwiędłemu pankowi... ale ja na to się nie zgadzam i nigdy nie zgodzę..

— A! Bóg ci zapłać, kochana pani moja łaskawa dobrodziejko! — zawołał uradowany pan Tomasz, zrywając się z siedzenia i całując serdecznie obie jej ręce. — Zdjęłaś mi dopiero kamień z serca.

— I to nawet panu powiem otwarcie, że jeżeli oboje zdołają się podobać wzajemnie, nie mam nic przeciwko temu; a nawet wszystkich starań użyję, żeby męża do tego skłonić.

— Tysiączne dzięki, tysiączne! moja mościa dobrodziejko! Spodobają się, muszą się spodobać, bo to mój Julek, proszę pani dobrodziejki, złote

serce chłopak, taki sam, jak nieboszczka Urszulka! — i znowu cmoknął ogniście ręce porucznikowej.

— Panie Tomaszu dobrodzieju, ostrożnie mosanie, bo to mąż patrzy! odezwał się żartobliwie już rozbrojony porucznik, wchodząc do pokoju.

— Ej ty gorączko jakiś, ty ty ty nic dobrego — przemówił grożąc mu tabakierką pan Tomasz — poczekaj, zapłacę ci ja za to...

— Płać, płać, dobrodzieju: ja do brania zawszem gotów. — No i cóż, zrozumieliście się, hę?

— I jak jeszcze — odrzekła porucznikowa.

— I z dobrym skutkiem — wtrącił pan Tomasz.

— A o cóżto chodziło?

— Kiedyś nie ciekawy — wtrąciła żona — to po co ci krew puszczać.

— Niech i tak będzie: knujcie spiski, szachrujcie, ale jak się wyda panie Tomaszu, pamiętaj mosanie, szablą się rozprawimy. A wątpię ja mój bracie o twojej biegłości; czy prawda?

— Po części to prawda; wszelako mam nadzieję, nie będziesz tyle srogim, mości dobrod... jak o ową łopatę.

— Bo też przyznaj, skonfundowałeś mię mosanie.

— No to przepraszam, bardzo przepraszam, nie gniewaj się, daj rękę.

— Boże mój! miałbym się też o co gniewać?

Przecież wszyscy o tem wiedzą, że to żartem...

Wtem rozległ się znowu tentent koni na dziedzińcu i ładna najtyczanka z panem marszałkowiczem zatoczyła się przed mieszkanie porucznika.

— Ot i on — krzyknął komendant — zapoznam was!

— Nie chcę, nie chcę, daj mi pokój — odrzekł pan Tomasz żywiej jak zwykle, i zemknął do drugiego pokoju.

Tymczasem wróciła reszta towarzystwa z przechadzki, usadowiono się przy okrągłym stole, podano herbatę, i ogólna rozmowa wszczęła się między nimi. Pan Antoni tylko coś nie był w zwyczajnym humorze; zapewne dla tego, że zastał obce dla siebie osoby, a może i ztąd, że pan Juljusz zbyt poufale rozmawiał z Julką, ów zaś młody inżynier znowu zbyt natrętnie wpatrywał się w niego. Kręcił się więc na krześle, wykrzywiał usta, wstawał, wyjmował pachnącą chustkę, przykładając ją do twarzy, ale tak widocznie, iż porucznik go zapytał:

— Co ci to panie Antoni łaskawy, czyś nie słaby?

— Nie, tylko w tej chwili ząb mię zabolał okropnie.

— To może arakiem zalać, hę? — Hej! dajcieno tam araku! może cygarko, co?

— Nic, nic, dziękuję bardzo — i spojrzał in-

stynktowo prawie na owego inżyniera, który wlepiwszy swe oczy w podstarzałą twarz marszałkowicza, zaczął się uśmiechać znacząco.

— Najlepiej, myślę, że trzeba będzie jechać do domu — odezwał się podając rękę porucznikowi.

— Ale jeszcze gorzej jechać mosanie; to niepodobna!

— Nie sprzeczajno się Jędrzeju — wtrącił emeryt — ja, mości dobrodzieju, wiem najlepiej co to ból zębów: ot w domu utrzeć chrzanu, albo śliwkę z pieprzem przyłożyć, podwiązać brodę...

— Tak, tak niezawodnie — dodał pan Antoni — i pożegnawszy zgromadzonych, pomimo usilnych namawiań porucznika, wsiadł na bryczkę kompletnie rozdrażniony i odjechał sobie z panem Bogiem.

— Za pozwoleniem pana kapitana — odezwał się młody inżynier, przytrzymując za rękę wracającego komendanta — czy dawno tu mieszka ten Kozłowicz?

— Który? czy marszałkowicz?

— Ten, co dopiero odjechał. Alboż to on tak się kazał tytułować?

— Ma się rozumieć — odrzekł nieco zaciekawiony porucznik — albo co?

— Bo ja go znałem przed trzema laty na Podolu.

— Kiedy on mosanie z Ukrainy.

— Nie wierz pan temu. Stryj mój posiada na Podolu własny majątek, graniczący podówczas z wioseczką jego, ja tam byłem przez kilka lat i znam go doskonale. Nikt z jego familji nigdy żadnym marszałkiem nie był...

— Panie! proszę nie ubliżać memu przyszłemu zięciowi — odpowiedział opryskliwie porucznik, i usiadł przy stole.

Wszyscy obecni jakby instynktownie razem spojrzeli na Julkę zarumnieioną po same oczy; pan Tomasz się skrzywił, syn uśmiechnął radośnie, a pan Stanisław Wiśniewicz, w tym rumieńcu Julki wyczytał wcale różne uczucie, aniżeli miłość dla przyszłego męża.

Milczenie ogólne panowało przez chwilkę w pokoju, nikt z obcych po takiej odpowiedzi porucznika nie śmiał dalej prowadzić rozmowy, tylko zainteresowana porucznikowa spytała inżyniera:

— Pan znasz Podole?

— Tam się rodziłem i wychowałem.

— Więc bądź pan dobry, powiedz nam o tym panu, co dopiero wyjechał.

— Właśnie też chciałem niektóre szczegóły wyjawić, ale...

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odrzekł powstając porucznik — ja sam mosanie znam ludzi na palcach, i to co wiem, dla mnie aż nadto.

— Ależ proszę pana, zrób to pan dla mej jedynie ciekawości i powiedz co wiesz o nim.

— To ja chyba wyjdę ztąd — przerwał porucznik.

— Owszem — mówił zakłopotany inżynier — prosiłbym pana kapitana o wysłuchanie togo wszystkiego, bo jakkolwiek dopiero od kilku godzin mam to szczęście znać państwa, jednakże obowiązek chrześciański, obowiązek każdego uczciwogo człowieka, wymaga ostrzedz innych o przeszłem postępowaniu takiego człowieka jak pan Kozłowicz. Dziwię się tylko, jak to on daleko wyniósł się z Podola, i potrafił oszukać państwa i innych, że go w swym domu przyjmujecie.

— On uchodzi tu za bardzo porządnego — wtrącił porucznik. — Mówisz pan bardzo rozsądnie, mosanie, żeś naprawdę mię zaciekawił; otóż jeżeli łaska, chciałbym się dowiedzieć o tem wszystkiem, ale sam tylko.

Wziąwszy go więc pod rękę, wyprowadził na podwórze, usiadł na ławeczce, a pozostało towarzystwo spoglądając w milczeniu po sobie, oczekiwało z niecierpliwością rozwiązania tak ważnej dla nich zagadki. Porucznikowa choć tak wybornie potrafiła panować nad sobą, tą razą wszakże nie umiała pokryć wewnętrznej radości, objawiającej się w całej rozmowie i gestach nadzwyczaj żywych. Po twarzy Julki przebiegał planetami to

uśmiech, to rumieniec, to znowu bladość niezwykła; w jej biednem sercu, jak w sercu nieszczęśliwego rozbitka, znów pokazał się zdala ciemnawy punkcik, mogący być dla niej ziemią ocalenia.

Czarne żarzące oko wpoiło się w twarz matki, chcąc z niej wyczytać niejako potwierdzenie swych nadziei. Naraz upadła poprzednia odwaga, zbladła ofiara poświęcenia, zamglił się horyzont przyszłych cierpień, a wspaniała budowa dawnych marzeń, jakby czarodziejską mocą odtworzona, zabłysła przed wzrokiem jej duszy jeszcze świetniejszą i ponętniejszą, bo przehartowana próbą boleści.

Nie wińcie jej o tę słabość, łaskawi czytelnicy, ale raczej ulitujcie się nad nią, bo sami wiecie o tem doskonale, że wielkie pomysły, bezgraniczne ofiary, a ztąd i czyny, są wynikiem chwilowej twórczej strony naszego ducha. Co obmyślane, wyrozumowane, nie ma tej mocy, tej siły i ważności, co pierwszy popęd serca i czucia. Ale nie dość być twórcą, nie dość być pomysłowym, bo do tego najpochopniejsi są ludzie; ale stworzyć myśl pewną, i mieć tyle nieugiętej siły wprowadzić ją w czyn, w realizację, to jest zasługa, to nieomylny znak genjuszu. A Julka nie była genjuszem, tylko zwyczajną sobie dziewicą, z duszą pełną zapału, lecz i z żądzą własnego szczęścia. Zaprzeć się siebie nie łatwo, zniszczyć swoje ja,

będąc już świadomym jego istnienia, tylko człowiek wielki potrafi.

Przed domem zaś, tajemnicza rozmowa porucznika z inżynierem stawała się coraz żywszą, siedzący w pokoju, mogli słyszeć gwałtowne wykrzykniki komendanta, wraz z silnemi pukaniami fajką o ławkę.

— I dowiedziesz tego, panie, co? — pytał porucznik wchodząc we drzwi.

— Wszakże tego nie potrzeba dowodzić, on sam nie zaprzeczy.

— A to dopiero oszust, mosanie, a to ja mu dopiero dam za swoje. A niechże go jasne, siarczyste, ogniste! Zarąbię, jak honor kocham mosanie! Poroznoszę na kawalki. Tylko panie, proszę cię na wszystko, niech to przy tobie zostanie; jabym się spalił, jabym się pod ziemię schował. Zmiłuj się nademną nic nie mów!

Wszyscy zdziwieni spojrzeli na wyrzekającego porucznika, a żona aż się przestraszyła, spostrzegłszy tak rozstrojonego męża. Skrzywiona twarz jego, z jakimś dziwnym uśmiechem oburzenia i gniewu, mieniła się co chwila jak skóra kameleona. Oczy na wierzch wyskoczyły, włosy rozczochrane, ubiór w nieładzie, ciche szeptania i poruszania głową, kazały się domyślać czegoś gwałtownego.

— Co ci jest Jędrusiu? — zawołała biorąc go za rękę.

— Nic, daj mi pokój — odrzekł wyrywając się. Co mnie boli, to mnie boli, wasani nic do tego.

— Ależ dla Boga, powiedz! może ja co poradzę.

— Tu żadnych babskich rad nie potrzeba. Wasani do rad jak do tańca, a mnie mało djabli nie biorą ze złości. Trzeba było nie radzić mosanie, nie odradzać, a wziąć ot takiego starego jak ja głupca za łeb, i powiedzieć: nie puszczę! nie puszczę!

— Mój Jędrusiu, ktoby tobie kiedy dogodził.

— Ot właśnie na tem sztuka! Rozumna żona powinna umieć dogodzić.

— No to i cóż się stało?

— Ale Wolicki! patrzcież moi drodzy, Wolicki przyjaciel, kolega. Tfu! podły świat i ludzie, do miljon furbeczek: rodzonemu nie wierz, bo albo zły, albo głupi, a oba jedną drogą chodzą. Muszę ja mu za to wytrzeć kapitułę, mosanie, oh muszę; zkąd jemu przyszło do głowy swatać... co... tego... Wiesz co, panie Tomaszu — mówił zwracając się do niego — dobre ty masz oczy?

— Oho! mości dobrodzieju, sokole jeszcze!

— No, to wiesz co Zosiu, każ nam posłać w tym pierwszym pokoju; my starzy, to sobie je-

szcze pogwarzymy trochę, a panowie zaś młodzi, to wam samym lepiej będzie.

Zrobiono więc podług życzenia porucznika; a kiedy zostali tylko obadwaj z panem Tomaszem, odezwał się do niego:

— Mój poczciwcze, wyręcz mię tą razą; siadajno tutaj i pisz co podyktuję. A wydostawszy z szuflady ćwiartkę papieru, gdy pan Tomasz zażywszy tabaki i odchrząknąwszy, zawijał rękawy surduta sadowiąc się na krześle, porucznik zaczął chodzić w koło pokoju, tarł łysinę, krzywił się najniesmaczniej, szukając wedle zwyczaju ulubionej fajeczki.

— Czegoż ja to chciałem, Tomaszu? — zapytał go stając przed stolikiem.

— Mieliśmy pisać.

— Ale jeszcze coś wprzódy miałem zrobić.

— Nie wiem nic, mości dobrodzieju!

— E! djabli nadali, że ja w takim rozgardjaszu już o niczem nie pamiętam; no to piszmy.

— A piszmy — powtórzył emeryt, rozmachawszy pióro. Czy to list?

— Nie, nie.

— A cóż, prośba? to może na stęplu; ja odrazu mogę pisać.

— Jakto, do majora na stęplu?

— No, to dyktujże!

— Już wiem, już wiem; fajki szukam, jest,

jest, piszmy: „Kochany Wolisiu“... nie, nie, poczekajno... trzebaby mu tak ceremonjalnie... „szanowny“... i to nie... nie wart szacunku: to to mosanie... czekaj, pomyślę...

Upłynęło kilka minut, porucznik myślał i myślal i myślał; ale czem bardziej zapuszczał się w zadumkę, tem gniew już nieco przygaszony, roztlewał na nowo w jego duszy, bo się prostował jak struna, szarpał wąsa, szeptał do siebie, machał fajką, wreszcie zniecierpliwiony krzyknął:

— Pisz tak: „Niech cię raz już djabli wezmą z marszałkowiczem!

— Ależ kto tak pisze, Jędrusiu?!

— On czego lepszego nie wart mosanie, za moje zgryzoty i hańbę!

— No, to powiedz, ja sam napiszę!

— Właśnie ja chcę, żebyś ty nie wiedział o co idzie.

— To sobie sam pisz!

— Ba, jabym to i bez twej rady zrobił, ale daj oczy...

Pan Tomasz zamilkł siedząc nieruchomie przy stoliku, porucznik znów dumał i dumał puszczając coraz gęstsze kłęby dymu; potem odezwał się:

— Ot! tak będzie najlepiej: „Wielmożny majorze dobrodzieju! Jak ten list odbierzesz...

— Czekajno, jeszcze wielmo...żny... majo...

— Eh! kiedy się tak guzdrzesz, Tomaszu, a na tem zęby zjadłeś!

— Ale boś ty gorączka okropny, Jędrusiu; to trzeba porządnie napisać.

— No: „odbierzesz, to choćby siarczyste ogniste pioruny...

— W imię Ojca i Syna! — zawołał zrywając się z krzesła pan Tomasz — co ty dyktujesz?

— Ja inaczej nie umiem bratku! U mnie mosanie, albo starosta, albo kapucyn; jak dobrze to dobrze, a jak kląć, to na czem świat stoi. Mój poczciwy, piszno: „pioruny z nieba leciały“.

— Ja nie mogę, Jędrusiu, ja katolik, mości dobrodzieju!

— Nie bądźno dzieckiem u djabła, toć i ja nie żaden heretyk, mosanie.

— Ale te siarczyste... ja się boję...

— Mój kochany, mój złocisty, piszno, a nie drażń mię, bo jak mi Boga trzeba przy śmierci, ja się mityguję i mityguję do czasu, ale we mnie krew płynie, zrobię głupstwo i kwita!

Przestraszony tą groźbą eks-kontroler, choć z drżeniem i niezwykłem biciem serca napisawszy ostatni wyraz, odezwał się: „leciały, staw mi się tu natychmiast, bo ci taką sprawię frycówkę, że mię popamiętasz!“ Nie, nie popamiętasz... czekajno, tak lepiej: „że cię odrazu djabli wezmą, jak swego“...

— No, to pisz sobie sam, mości dobrodzieju! — przerwał znowu pan Tomasz składając pióro z rezygnacją. — Rób co chcesz ze mną, ja tego nie napiszę. Od lat dwudziestu, mój Jędrzeju, złego ducha nie wzywałem i wzywać nie będę!

— A toż oczywiście chyba skaranie Boskie — zawołał prawie z płaczem porucznik — co rusz, to źle; czego się dotkniesz, na złość robi.

— Zmień, to napiszę!

— Jakże tu u milion furbeczek, okrętów, batalionów zmienić, kiedy tak najlepiej. Jakże tam było?

— No, sprawię frycówkę...

— Dobrze; pisz; „że aż w niebie będzie słychać!“

— I to mi się nie podoba!

— Bo do milion furbeczek nie potrzeba, żeby ci się podobało! — zawołał rozgniewany komendant. — Co ja tu wasanu będę jakieś delikatesy dobierał, hę? Podjąłeś się, to pisz i basta!

— Ależ poczekajno, mój Jędrusiu; powoli, mości dobrodzieju, powoli, i ja byłem referentem...

— A co mi tam do twego referenta, kiedy za dyktandem trzech wierszy nie potrafisz skreślić!

— Oho! nie tak znowu, mości dobrodzieju: ja nie z takimi dyrektorami bójki staczałem, bo co słuszność, to słuszność.

— Wiesz Waspan, takie gadania i niucha ta-



...chcesz pisz, nie chcesz, idź do djabła i rzecz skończona. (Str. 63, t. III.)

baki nie warte! W wojsku u nas kazali kark skręcić, to musiałeś skręcić; ani mrumru: bo kulą w łeb i do piechoty! rozumiesz.

— Ale to co innego, mości...

— Nic innego tylko rozkaz i kwita. Chcesz pisz, nie chcesz, idź do djabła i rzecz skończona. Kiedy tak, ja sam dokończę!

Siadł więc i porwawszy pióro, tak z pamięci coś nagryzmolił ze cztery wiersze, podpisał siarczyście aż pióro skrzypnęło, zasypał, złożył, opieczętował, i oddał służącej z poleceniem, aby nazajutrz rychło świt doręczyła posłańcowi.

Pan Tomasz tymczasem pobrzdąkawszy trochę, pokiwawszy głową niechętnie, a wreszcie uśmiechnąwszy się dobrotliwie, odmówił zwyczajne pacierze; i położywszy się w łóżko nie mógł wytrzymać, żeby nie zagadnąć do porucznika:

— Mój kochany — odezwał się po zgaszeniu świecy — twoja żona to musi być chyba aniołem, mości dobro...

— Taki djabeł, jak wszystkie baby — odrzekł porucznik.

— Ale, ale! moja nieboszczka dałaby ona ci.

— Nie bój się, i ta mi daje mosanie.

— Jakoś tego nie widzę, mości dobrodzieju.

— Ha, pobądźno tu parę dni, a zobaczysz: ona tak milczkiem, mosanie, milczkiem, a kąsa.

— Moja to znowu tak, jak ty, Jędrusiu.

— Bo też to była porządna kobieta.

— Tego nie zaprzeczę; ale widzisz, jednego razu, pamiętam jeszcze nie miałem kolonji, przyjechał do Warszawy mój kolega, ach prawda, to i twój mości dobrodzieju, Szawelski, pamiętasz go Jędrusiu?

— Nie — odpowiedział na pół śpiący już porucznik.

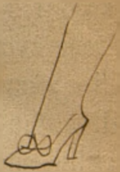
— O! ten mały, czarny — mówił dalej podnosząc się na łóżku — ten, co to stał u tej, tej na górze... Ta... Ba... Ka... bodajże cię, zapomniałem. Co to do jej córki chodził profesor matematyki Kraciński, mości dobrodzieju: co to, pamiętasz, jak go raz kazał oćwiczyć, to on leżąc na ławie powiedział do profesora, że panna Aniela o niego się pytała... Ot Jasińska! Przypominasz sobie, co?

Lecz porucznik nic się nie odezwał.

— Czy spisz Jędrusiu?

I tą razą nie było odpowiedzi.

— Spi już — powtórzył pan Tomasz. — Oni wszyscy na wsi, jak się położą to i śpią. Żebym to ja tak potrafił — pomyślał westchnąwszy. — Ale podobno tego się nie doczekam, chyba na tamtym świecie. — I znowu zabrnął myślą w dawniejsze czasy, doszedł do śmierci Urszulki, łza mu się stoczyła po suchem licu, a porucznik chrapał i chrapał w najlepsze.



VIII.

Do dnia jeszcze było daleko, gdy zdesperowany porucznik zerwał się na nogi. Pan Tomasz spał sobie w najlepsze, więc ubrawszy się cichutko, wyszedł przed dom, zasiadł na ławce około gruszki, i zaczął medytować. Snać, że tajemnica o marszałkowiczu musiała mu dolegać niepomału, bo zerwał się teraz gwałtownie, biegał tu i tam machając rękoma, a klnąc na czem tylko świat stoi. Patrząc na tę twarz mocno zarumienioną, oczy krwią zaszłe i uśmiech dziwnego szyderstwa igrający na ustach, zdawało ci się, że tu gniew i obraza, najdraźliwsze ze wszystkich miłości własnej, przebierają miarkę pospolitości. To groził ręką zacisnąwszy palce, to stąpał gwałtownie jakby nacierając na przeciwnika; a ogniste spojrzenia i palące słowa towarzyszące każdemu ruchowi, przypominały jakieś dawne walki, gdzie krew młoda i żądza sławy popychały nim wśród gradu kul i szczęku świecącej broni.

— Tak być nie może! — krzyknął tupnąwszy o ziemię i stawając wyprężony o ile wiek na to pozwalał. — Dość tego panie Jędrzeju, dość głupstw w tem życiu! Darmo, ruszaj w świat, szukaj ludzi, bo to wszystko, to, to... zwierzęta! Świat się spodlił, świat ten... bezecny! — I gdy tych słów domawiał patrząc zaciekłym wzrokiem na niebo, promyk purpurowego słońca trysnął ponad horyzontem, strzeliwszy wprost na twarz zagniewanego starca. Jak piorunem rażony spuścił oczy ku ziemi, zawisnął głową na piersi, a ręka machinalnie podniosła się ku czołu, i kreśląc znamię krzyża, powitała ze skruchą tę wspaniałą latarnię Boga.

— Nie — wyrzekł z pokorą po chwili — nie, świat ten, to cud nad cudami. Nie, ludzie to moi bracia, a winy ich są wszystkim nam wspólne! Kto dał im takie słońce, takie światy, takie rozkosze, kto czuwa nad nimi, ten i o ich zbawieniu zapomniećby nie mógł. Tylko trzeba mu ufać i kochać go trzeba! Tak, pójdźmy do Niego, On nam poradzi.

I zwrócił się ku bramie, potem koło ogrodu w uliczkę, ztamtąd pod kościół; a że był zamknięty, więc klęknął na progu i modlił się goręcej niż zwykle, bo czuł, że dzisiaj więcej potrzebuje hartu duszy, więcej górnej pociechy, niż za dawnych lat swojej młodości.

Tymczasem pan Tomasz trzymając się jeszcze dawnych reguł warszawskiego życia, odmówiwszy pacierze, wziął się do ubierania; i właśnie piątą brzytwą odbywał ostateczną rewizję swej brody, gdy porucznik nieco zaspokojony wchodził do pokoju.

— Dzień dobry Tomaszku!

— A dzień dobry, dzień dobry! — odrzekł tenże spoglądając nań litościwie.

— Jakże się spało?

— A dobrze; tylko poczekajno niech skończę. Więc założywszy ręce za siebie, nasz komendant rozpoczął zwyczajną kołową przechadzkę. Upłynęło kilka minut, pan Tomasz wciąż rewidował, suwając palcem po brodzie i zmiatając jak kosą wystające kępki; porucznik zajrzał mu w oczy, uśmiechnął się litośnie, machnął ręką i znowu chodził Ale gdy pomimo tego wszystkiego golenie nie ustawalo, ośmielił się przemówić:

— No, bójże się Boga Tomaszku, skończ raz przecie; skrobiesz i skrobiesz, aż mrowie po mnie przechodzi.

— Mój drogi — odrzekł odwracając głowę z błagalnem spojrzeniem — dajno mi też mości dobrodzieju pokój!

— Ależ bo to strasznie nudno; jabym chciał z tobą pogawędzić...

Emeryt nic na to nie odpowiedział, tylko wyciągnąwszy szyję, posuwał dalej brzytwą.

— Eh! trzebaby cię do wojska mój Tomaszku: jakbyś się tak codzień sztafirował przed apelem, to powiadam ci mosanie, z kozybyś nie wychodził...

— A dajże mi też choć raz pokój! — krzyknął zagniewany emeryt, rzucając brzytwę i zrywając się z krzesła. — Ja tu mości dobrodzieju golę w najdrażliwszem miejscu, a ty mi jak na zdradzie stoisz. Niechby też przypadkiem, czego Boże uchowaj, brzytwa się zesunęła, toby było...

— Chlast — dokończył porucznik, przesuwając palcem po szyi i wychodząc z pokoju.

W domu wszystko jeszcze spoczywało, tylko zaspana Małgorzata rozniecała ogień w kuchni, przygotowując dla gości ranne śniadanie. Więc też nasz komendant uchyliwszy drzwi lekko, zapytał:

— A prędko tam będzie kawa?

— O! proszę pana, dopiero rozpalam.

— Co wy dziś tak długo śpicie mosanie; tu dzień jak wół, a wam się zdaje, że to północek!

— Ale proszę pana, jeszcze piątej nie ma.

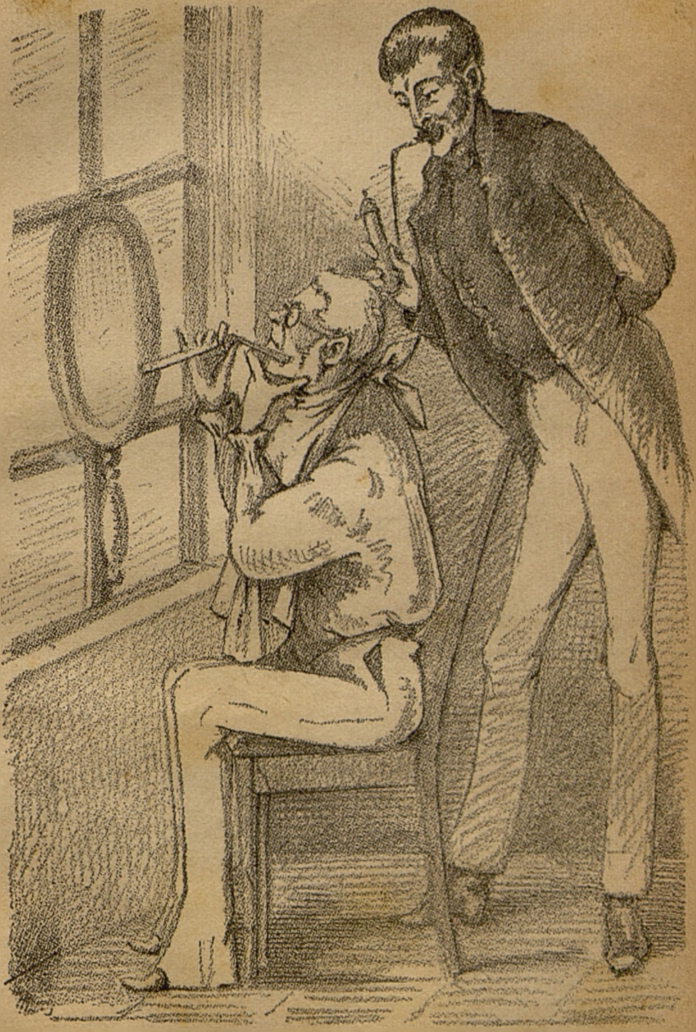
— Co mi ty gadasz nie ma, nie ma; ja lepiej wiem która, dość że kawa powinna być i basta!

— Ale zegar...

— Co tam zegar; on tak głupi jak i ty: słońce lepiej pokazuje. Zbudź kobiety!

— Kiedy pani słaba.

— Masz tobie znowu z chorobą. A czy też skaranie boskie z temi babami? Całe życie tylko



— Eh! trzebaby cię do wojska mój Tomaszku: jakbyś się tak codzień sztafirował przed apelem, to powiadam ci mosanie, z kozybyś nie

przekwękają: a to ją ząb boli, a to głowa boli, a to kości bolą. Tfu! do miljon furbeczek z takiem życiem: żeby to na mnie przyszło, jużbym sobie ze sześć razy w łeb wypalił z niecierpliwości.

— Bo też pan taki...

— No jaki, jaki? — powtórzył naśladując jej mowę i ruchy.

— Eh... ja-ta nie śmiem powiedzieć, jak pani pana nazywa.

— Gadajże mi zaraz, co to za mowy, mosanie; no, jaki?

— Ooo... gorączka...

— A tak, ma się rozumieć, gorączka, nie mazgaj jak wszystkie baby: one tylko lelum polelum, wolniutko... U mnie mosanie raz! i kwita! Ale słuchajno, list wczoraj wysłałaś?

— O! jeszcze o piątej poszedł Duszak.

— Kto, Duszak?

— A no, bo nie było innego, a pan mówił że pilne.

— Kobieto! słuchajno, czyś ty nie warta, żeby cię tu, tu... Tak, i tyś śmiała tego starowinę wysyłać, co? — krzyknął nad nią wyciągając w tył ręce.

— Cóż ja tam winna, proszę pana: obleciałam wszystkich, Gawlik był w polu, bo pilnuje ziemniaków, Kaczorowski pijany, Włodarczyk w lesie na rydzach; stary się naparł i poszedł.

— Ot znowu jak dziady torbiaste moja komenda! Nie, dalibóg ja sobie z tem tałałajstwem rady nie dam. To wszystko napróżno: bij, katuj, więź, zamykaj, oni zawsze po swojemu. No, i mój ty Boże kochany — mówił już do siebie wychodząc przed sień — co się z temi ludźmi zrobilo!? A toć ja pamiętam owego Litwina Gawlika; bestja chłop jak lew, nocy nie spał, a pucował konie i lederwerki, a teraz kijem go z pola nie wypędzisz. Oczywiście baba go wodzi za sobą jak jakie cielę, i kwita! Tak to mosanie żenić się wojskowemu; a to jemu do miljon furbeczek na co? Ja mosanie, żeby to odemnie zależało, anibym sobie dał gadać o tem. Żołnierz jesteś, to się bij mosanie! Palasz — to żona. Albo np. i ta moja: dobre to wprawdzie, uczciwe, no i nie głupie, ale zawada. Niby jabym tu siedział jak zgniła pieczarka za piecem, hę? Czybym to miał takie kłopoty, jak teraz z dziećmi; jedno poszło jako tako, a z drugiem ani weź. Co przyjdzie jaki gach mosanie, to go przyjmij, to go paś, to go głaskaj, chociaż Bogiem a prawdą na rekruta jeszcze nie wygląda! Żebym ja to miał worki pieniędzy, ha! to co innego. Ale tak... to tylko bieda! A i ten, ten stary galant, oszust, marszałkowicz; widzisz go lisek, biczownik, mnie starego zdurzył mosanie, żem w niego uwierzył, jak w Pana Boga. Oho! poczekaj bratku, zjesz mi ty miljon furbeczek, okrętów, bataljonów,

jeżeli ci to płazem puszczę... Ot kto jeszcze może, to mój Wolisio zuch całą gębą! Ale bo też żony nie ma. Tylko mosanie straszny szaławiła: nic mi się nie utemperował; ta sztuka już takim umrze. No, ależ warto dać mu buzi: ze wszystkiego sobie drwi mosanie, nic go nie obchodzi, dziś tu, jutro tam, jak ptaszek leśny... Ale kiedy znowu i on mi skrewił: niewinnie może, bo i niewinnie, ale skrewił: wytrę też kapitułę na wszystkie strony... Zwyczajnie, łatwowierny, okpili to, otumanili listami, winem, cygarami, i zwiózł tu na moje utrapienie tego wołyńskiego grata. Dajno mi go tu teraz, dajno — mówił zagarniając ręką przed sobą, i szedł dalej a dalej, posuwając się w stronę, zkąd spodziewał się przyjazdu majora.

Ruch w miasteczku stawał się coraz żywszym: wszystko to dążyło na pole zabierać resztki kartofli, prosa lub tatarki. Przechodzący pozdrawiali porucznika uprzejmie, on dziękował nie wiedząc o tem, a patrzał, czy tam nie wznosi się jaka kurzawa, zwiastująca przybycie upragnionego gościa. Lecz jak na złość, wężowata wstążka drogi bieliła się wyraźnie pośród zieleniejących łanów, słońce podnosiło się wyżej dopiekając łysinie porucznika, a on zakrywszy ją dłonią, postępował zwolna w oplotki.

— Ha! widać pan major kochany *per pedes apostolorum* wizytę mi oddaje! — zawołał ujrzaw-

szy jakąś szarawą postać zbliżającą się po ścieżce do miasta. — Eh! to Duszak maruder — mówił dalej rozpoznawszy starego, a wstydząc się, że idzie bez czapki, zawrócił ku domowi. Ale poczciwe żołnierzysko spostrzegł go nawzajem, przyspieszył więc kroku utykając na kiju i wołając:

— Panie kapitanie, z przeproszeniem, panie kapitanie!

— No, a co chcesz? — odrzekł tenże odwracając niechętnie głowę.

— Z przeproszeniem łaski pana kapitana, ale ja wczoraj oddałem.

— Co?

— A list.

— Prawda, toś ty chodził i głupstwoś zrobił.

— Jakie? proszę pana kapitana.

— Bo od tego są młode rekruty, a wasan powinieneś jak grzyb siedzieć za piecem i chwalić Pana Boga, mosanie, rozumiesz!

— Fe! co tam, co tam, ja się przeszedłem to mi i zdrowiej: zwyczajnie człeku to pomaga, kiedy się przewietrzy. Ale że pan kapitan tak rano, bez czapki....

— No i cóż wielkiego, przecie mi jej nikt z karku nie zdejmie. A cóż, Wolicki jest w domu?

— Nie ma, panie kapitanie, dziś rano go się spodziewa Strzemierz i list odda.

— A ten tam nie był przypadkiem?

— Kto?

— No, ten niby mój zięć dawny, marszałkowicz?

— A cóż to się już rozchwiało z panną Julją?

— Samo się nie rozchwiało mosanie, tylko ja rozmiotłem to het na cztery wiatry.

— Chwałaż tobie Panie Boże! — krzyknął uszczęśliwiony starowina składając ręce.

— I cóż to ciebie tak cieszy, mój stary?

— Eh! że też to pan kapitan jeszcze się o to pyta — odrzekł śmiejąc się serdecznie. — Albož my to nie kochamy panny Julci jak własnego dziecka naszego, albośmy jej to nie piastowali, nie wychuchali; bo to widzi pan kapitan, tak tedy ja to nie śmiałem występować z moją perswazją, zwyczajnie chudy pacholek, żołnierz, ale jabym mu dał, dał.... no, no!... Bo to on tedy, wie pan kapitan, świece ludziom daje...

— Jakie świece? — przerwał komendant.

— A tak świece, szczere, łojowe, jak pana Boga kocham; bo powiada, że okrasa do jedzenia dużo kosztuje, i że mu kradną, więc łojem, świecą — dokończył trzęsąc się z gniewu i oburzenia, a oczy mu zabłysły żywszym ogniem, lica zarumieniały, ręka zaś machinalnie szukała czegoś przy lewym boku.

— Ale mój Duszaku, bo ty jeszcze nie wiesz wszystkiego — powiedział porucznik siadając na

płocie, i obracając się na wszystkie strony, czy go kto nie słyszy.

— I cóż to takiego? — wyrzekł nieśmiało.

Porucznik więc przybliżył się do jego ucha, szeptał przez chwilkę z całą gorączkowością swych ruchów; Duszak znów mrugał oczami coraz to częściej, wyprężał się jak struna, a gdy usłyszał ostatni wyraz jego „biczownik“, skoczył jak oparzony, wywijając laską: „zabić, jak Pana Boga kocham, zatłuc! Co to taki oszust!“ A nie mówiłem hę, nie mówilem, i pani kapitanowa.

— Cicho, bój się Boga, ja się boję, żeby nas te drzewa nie usłyszały, bobym oczu na nie podnieść już nie mógł. Ale przyznasz Duszaku mój kochany, że ja sobie jestem porządnie głupi kapitan.

— Eh! nie, nie — odrzekł napół śmiejąco — nie kapitan... nie...

— To porucznik?

— Ale i to nie.

— No to cóż u kaduka, mosanie?

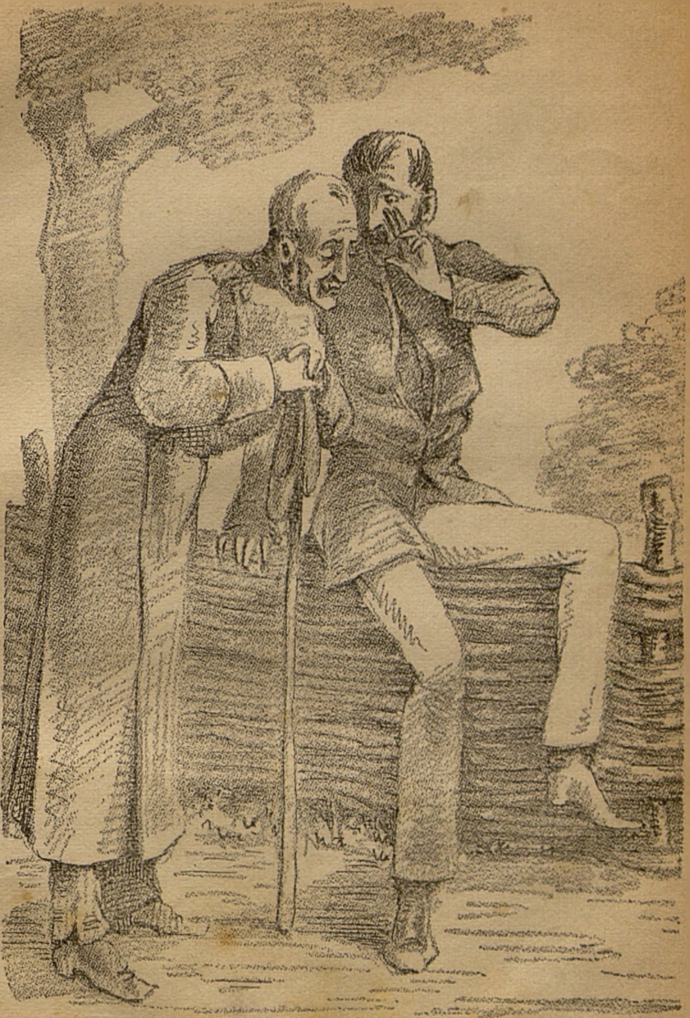
— A! o o... o...

— Ojciec?

— Tak -- dokończył kiwnąwszy głową.

— Masz rację: chocieś ty żołnierz, ale rozsądny; teraz pójdź ze mną do domu, nikomu ani słówka o tem; major pewno przyjedzie, więc naradzimy się wspólnie. Niech to będzie sąd wojenny: dobrze.

— A! dobrze.



Porucznik więc przybliżył się do jego ucha i szeptał przez chwilę z całą gorączkowością swych ruchów... (Str. 74, t. III.)

Nie doszli jeszcze do bramy, gdy porucznik obejrzawszy się jakby instyktownie dostrzegł posuwający się ku miastu tuman kurzawy; zatrzymał się więc na miejscu, oczekując przyjazdu majora. W istocie lekka bryczka ciągniona dwoma większej rasy konikami, suwała się coraz to bliżej. Porucznik omal oczu nie wypatrzył, kierując je w tamtę stronę; lecz jakże się zawiódł i zgniewał zarazem, gdy ujrzał w burym habicie i białym słomianym kapeluszu, siedzącego wysoko kwestarza.

— To ojciec Bernard! zawołał splunąwszy gniewnie — pójdźmy!

Pan Tomasz tymczasem ustroiwszy się w swój urzędowy mundur, w białej chustce z dużemi podkrawającemi uszy kołnierzykami, i z ogromnym plastrem na brodzie, zapijał najlepsze kawę, chwaląc sucharki i śmietankę, a trzymając się wszelako za brodę, bo od ruchu ust i plaster się odlepiał.

— Ot i on — zawołał spostrzegłszy wchodzącego porucznika — wie też pani dobrodziejka, że ja ranny jestem z jego przyczyny?

— To też prowadzę ci felczerza, mosanie — przerwał popychając przed sobą kaszlącego Duszaka. — Wierz mi, jak ci urobi maść wojskową z prochu i kartaczy, to choćby się wiadrem krew lała, zatamuje; a tymczasem przedstawiam ci perłę mojej komendy, zucha z pod Saragossy i Samo-

Siera, człowieka, który mówi ci sześciu językami mosanie, pitrasi szuwaksy i czernidła na wąsy dla całej komendy, a dla siebie tabakę: słowem niedoszłego wachmistrza drugiego pułku, Tymoteusza Duszaka.

— *Laudetur Jesus Christus!* — odezwał się w tej chwili wchodzący kwestarz.

— *In saecula saeculorum amen!* — odrzekli prawie razem pan Tomasz i porucznik, który zadrzawszy nieco, obrócił się z całą żywością spoglądając badawczo w twarz przybyłego.

— Przepraszam bardzo, że przeszkodziłem śniadaniu łaskawych i wielmożnych państwa; ale i jabym też upraszał w imieniu zgromadzenia OO. Reformatów o jakie małe wsparcie — mówił dalej braciszek kłaniając się bardzo nizko.

Porucznikowa i Julka powstały szybko z krzeseł, szukając z swej pamięci kogoś z dawnych znajomych: bo jakkolwiek pulchna twarz braciszka i delikatna jej cera szczególniej po obu bokach nie potwierdzały ich zadziwienia, wszelako głos ten był tak dobrze znany, że lada chwilę mogly go poznać.

— A zkądże to ojciec dobrodziej? — spytał porucznik zapraszając go do stołu — bo coś, coś, mi znane.

— Z klasztoru N. powolny sługa boży, laik Hiacenty.

— Tato! — kryknęła rozpromieniona Julka — to pan Wolicki.

— A a a a!... powtórzyła ciszej śmiejąc się lekko porucznikowa — prawda, on. No — przemówiła — proszę do kawy, i czem mam służyć panu, czy bułeczką, sucharkami, może chleba z masłem? Oj figlarzu! figlarzu! — i pogroziła mu palcem.

— Dziękuję bardzo łaskawej pani mojej dobrodziejce, dziś piątek, ja suszę; i jeżeliby można prosić o kapkę wódki, ot i dla człeka kawalek chleba... — odpowiedział z całą pokorą i powagą, składając ręce braciszek.

— To jak Wolicki, ale nie Wolicki — mówił do siebie porucznik poruszając głową. — No, mój bracie — wyrzekł głośniej jeszcze niepewny z kim rozmawia — powiedz prawdę, czyś ty Wolisio, czy nie: bo jak Pana Boga kocham ja tu głupieję... No, nie żartujno.... no...

— Jak żyłem na świecie nazywano mię pono tem nazwiskiem, ale dziś w murach klasztornych, jestem braciszek Hiacenty, do usług mojego porucznika.

— A! on, dalibóg on! Niechże cię ukoronuję majorku z twojemi facecjami mosanie! — zawołał obracając go i ściskając w objęciach. — Że też jemu te figle jak z rękawa się sypią: to drugi Kaniowski. No, zdejmno tę rewerendę ojcze do-

brodzieju, bo ty masz inne ubranie; no, nie zwłóczno mój drogi. Widzisz, to mój przyjaciel kolega szkolny, pan Tomasz Rygorski z Warszawy, a to oto panowie ci. Ale... cożeś też ty zrobił najlepszego w świecie? — krzyknął po chwili, odskakując na bok. — Tfu! do miljon furbeczek, dla głupich figlów wąsy zgalać! a pfe panie majorze, takie sumiaste; a szkoda mosanie, i faworyty. No patrzajże Tomaszu co to za świszczypała! to nie do darowania; wygląda jak kolano...

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja — wyrzekł jeszcze z powagą braciszek, zawiązując napowrót sznury, które porucznik już poodpinał — pan się mylisz: ja nie dla żadnych facecji ten strój przybrałem: ja jestem braciszek Hiacenty, do usług...

— Ale fe! co znowu? — przerwała zadąsana porucznikowa.

— Eh! kpij sobie z takich ot sześcio-letnich dzieci, ale nie ze mnie mosanie! — zawołał czerwony już porucznik.

— Ależ dlaboga, ja szczerą prawdę mówię.

— Idź sobie do miljon furbeczek z taką prawdą! Cóż ty myślisz całe życie mnie za nos wodzić! co? Dość tych żartów, rozbieraj się i kwita; bo inaczej to zwołam moją wiarę, mosanie, i gwałtem rozbiorę: słyszałeś, hę?

— Dajno pokój Jędrusiu, mości dobrodzieju —



— No, zdejmno tę rewerendę ojcze dobrodzieju, bo ty masz inne ubranie... (Str. 78, t. III.)

przerwał pan Tomasz ciągnąc go za rękę — to widać tak jest.

— Co mu ty wierzysz? ale, ale, tak jest! Powiadam ci to jest taka sztuka filuterna, że onby samego lucypera okpił. No Wolisiu, nie nudź!

— Mój kochany — wyrzekł powolnie braciszek — wolno wierzyć lub nie wierzyć; ale jest tu nasz człowiek z klasztoru, który moje słowa potwierdzi: zresztą, jam ci już dawniej wspomniał o mojem postanowieniu, teraz dodaję to tylko, że już od dwóch tygodni chodzę w habicie, z czego niech będą wiekuiste dzięki Bogu Wzechmogącemu, a ludziom na ziemi pożytek.

— Ot! masz tobie, sfiksował na prawdę; a niechże cię... Eh! dalibóg świat się przewraca do góry nogami. No, mój ty Duszak, patrzajno co się to z tego człowieka zrobiło: mnich, czysty mnich. Może tabakę jeszcze zażywasz, co?

— Jeżeli mogę służyć, to proszę — odrzekł śmiejąc się nieco braciszek, i wyciągając z za rękawa dużą łubową tabakierkę.

— Idźże sobie ty do miljon kartaczów, bomb, furbeczek, bataljonów z twoją tabaką! Niedość że mię zirytował jak nieboskie stworzenie, jeszcze swemi drwinami przyprowadza do ostateczności! Wiesz co! — zawołał gwałtownie ciągnąc go za habit — tych kpin już zawiele: gadaj mi tu zaraz pod słowem honoru, czyś ty ksiądz, czy major, czy djabeł jaki?

— No, słowo honoru ci daję, mój Jędrusiu — odpowiedział z flegmą Wolicki — że tak jest.

— Żeś djabeł?

— Kiedyś może, ale dziś jeszcze braciszek reformacki.

— A to już darmo! — krzyknął machnąwszy obiema rękami i odskakując na bok. — Darmo, świat zwarjował na piękne. Zosiu! Zosiu, każ mi szyć habit: niech co chce będzie i ja pójdę na laika!

— Jędrusiu, — uspokój się, mości dobrodzieju! — przerwał pan Tomasz.

— Co ja się tu będę spokoił, kiedy wszystko się już spiknęło na moję biedę! No i cóż ja też tu nieszczęśliwy człowiek będę teraz robił na świecie! Ostatnią moję podporę, ostatnią przyjemność Bóg zabrał do klasztoru. Dla mnie tu już nie ma życia, o! nie ma!

— Słuchajno Jędrusiu — odezwał się rozczulony Wolicki — czego się ty tak rzucasz i desperujesz, jakbyś mię już żywcem pochował do grobu. Wierz mi, uczucia moje choć pod tą zakonną suknią, są takie same jak dawniej: serce bije silniej jeszcze niż pod pancerzem wojskowym. Tam chroniła go sława, a tu ten, co sławę daje i nią rządzi. Nie bój się, ja tu częstszym teraz będę gościem u ciebie: wszak to trzy małe milki od klasztoru, a i ty zajrzysz tam przecie czasami.

Ja się przywlokę choćby piechotą, tylko już nie darmo — dodał żartobliwie — dar jakiś musisz uczynić za każdą razą.

— No, no — mówił dziwnie zafrasowany porucznik — no, no, jakie to przewroty dzieją się po głowach ludzkich. Ktoby to powiedział, kto przewidział, patrząc na tego wcielonego djabła, że tak nagle przejdzie w baranka? Ale kiedy się już tak stało i bez mojej wiedzy, kiedyś się już zdecydował nawet zażywać tabakę, powiedz mi, co cię do tego skłoniło, zkąd ten wiatr bogobojny ciebie zawionął?

— Oho! to dawny zamysł, to lata się nań składały — wyrzekł braciszek ze łzą w oku. Zresztą towarzystwo marszalkowicza...

— A nie gadajże mi o nim, jeżeli chcesz, bym po ludzku mógł z tobą pomówić...

— No! cóżeś tam znowu upatrzył do niego? to człek świątobliwy.

— Tra la la, tra la la, świątobliwy! — przerwał już zaperzony komendant — piękna mi świątobliwość, kazać się biczować ze skąpstwa. Mój kochany bracie, jeżeli i ty chcesz iść taką drogą, jak twój świątobliwy marszałkowicz jakiś, to piekło będzie dla was za ciasne.

— Ale pozwólno Jędrusiu, uprzedziłeś się.

— Już aby tego nie mów, bo mię do wściekłości doprowadzasz! Na twoją rekomendację przyją-

łem tego trutnia do mego domu, traktowałem jako człowieka honoru, uczciwego, pobożnego; a ta gadzina wpiła mi się za skórę i chciała ostatnią kroplę krwi wysączyć z biednego ojca, porywając mu w swoje djabelskie szpony jedyne dziecię. Oho! już mię drugi raz nie zwiedziesz bratku!

— Ależ koniec końcem co to było? — zapytał zdumiony Wolicki.

— Pójdź, pójdź, a powiem ci wszystko. Panie inżynierze łaskawy, proszę z nami; chodź i ty Duszak. A może i ty Tomaszu radbyś usłyszeć?

— Uwolnij mię, uwolnij, jam-ta nie ciekawy.

Więc wprowadziwszy ich do sypialnego pokoju, drzwi zamknął na zasówkę, mówiąc:

— Widzisz, ja nawet żonie nie śmiem tego powiedzieć, bo dali Bóg wstydzę się samego siebie; ona miała przeczucie, ciągle odradzala, ale ja głupia sztuka nie i nie, nie i nie; szczęście, że się jeszcze nic złego nie stało.

— No, ale cóż on zrobił? — przerwał niecierpliwy Wolicki — czy okradł kogo, czy co?

— Jeszcze gorzej bratku, jeszcze gorzej!

— To może zabił?

— Jeszcze gorzej!

— No, to i cóż u dja... — i ugryzł się w język nasz braciszek nie dokończywszy zwyczajnego wojskowego wyrażenia.

— Mój łaskawy panie inżynierze, powiedzno co wiesz — odezwał się porucznik zwracając do niego mowę.

Młody człowiek zmieszał się nieco na taką propozycję, zwłaszcza, że usłyszawszy to Wolicki, spojrzał nań wcale nie po zakonnemu.

— Żebym ja był przewidział, ile moja wczorajsza wiadomość zrobi panu przykrości, bądź pewny, anibym wspomniał o niej; bo jakkolwiek zwykłem prawdę mówić zawsze i wszędzie, jednakże tą razą mogło się stać inaczej.

— Ale fe! co pan mówisz!? — zawołał porucznik — wyświadczyłeś mi taką łaskę, jakiej się nigdy nie zapomina; ochroniłeś mój dom od hańby i dlatego proszę cię mów otwarcie: tolerować czyjeś podłości, to jeszcze gorzej, niż o nich zamilczać.

— Nie przeszkadzajno Jędrusiu; słuchamy pana.

— Ale wiesz Wolisio — przerwał znów komendant — on nie żaden marszałkowicz.

— Eh! dajno pokój...

— No, no, już ani pisnę.

— Istotnie — mówił wciąż zarumieniony pan Stanisław — znam pana Kozłowicza bardzo dobrze, gdyż stryj mój graniczył z nim na Podolu.

— Aha, widzisz! on powiedział, że z Wołynia.

— Albo ty mów, albo pozwól temu panu: jak

będziesz tak przerywał, to się nic nie dowiem — wtrącił Wolicki.

— No już ani mrumru...

— Więc ten pan Kozłowicz — ciągnął dalej inżynier — od lat dziesięciu słynął w okolicy ze swych nieustannych konkurów do panien posażnych; ale że jakoś nie zdołał się podobać żadnej, więc za mojej bytności kapitulował zupełnie, a natomiast stał się niezmiernie nabożnym, że cała okolica miała go za świętego...

— A więc cóż chcesz? — przerwał Wolicki.

— Czekajno braciszku, czekaj — odrzekł porucznik trącając go po ręce i przybierając poważną minę — słuchamy, panie.

— Jeden wypadek owego świątobliwego żywota zmusił go do opuszczenia tamtejszej okolicy, a ten był następujący: Pan Kozłowicz wyrządził krzywdę żonie jednego ze swych służących, jakiego ona była rodzaju, tego już nie pamiętam; dość, że rozmyśliwszy się potem, uczuł pewien żal i postanowił jakimbądź sposobem takową wynagrodzić. Lecz że był skąpym, więc wszelkie możebne środki owego wynagrodzenia kieszeń jego nadwerężyć mogące, nie trafiały do jego przekonania. Udaje się więc do sąsiedniego klasztoru na rekolekcje: tam modli, pości, suszy, płacze, i wreszcie zasięga rady pobożnych ojców, którzy jednozgodnie oświadczają, iż grzech póty nie będzie odpuszczony, póki

krzywda nie zostanie wynagrodzoną. Więc wróciwszy do domu, w swej prostoduszności sądząc, że za występkami zwyczajnie idzie kara, a gdy kto zostanie ukaranym już i winę zmaże: woła męża owej kobiety a swego poddanego, zamyka drzwi, i tak bez ceremonji każe sobie palić pięćdziesiąt odlewanych nahajów, nie mówiąc za co, dlaczego i po co. Służący się wzdraga, on rozkazuje, i koniec końcem odebrawszy wyznaczoną dozę, płaci mu parę złotych za fatygę, z poleceniem zachowania jak najgłębszej tajemnicy.

Szczęśliwy, że wynalazł tak łatwy, a zarazem tani sposób zadośćuczynienia własnemu sumieniu, odleżał jakie kilka dni w domu, bo slugus wcale ręki nie żałował; i znów powrócił do dawnego trybu swego życia. Ale poddańczuk nie potrafił utrzymać zapowiedzianego sekretu: w zaufaniu powierzył go żonie, ta znowu pokryjomu sąsiadce, owa rozpowiedziała go w karczmie; dość że nim pan dziedzic pokazał się po wyzdrowieniu, już cała wieś była zawiadomioną o tym wypadku. Za kilka dni wieść ta przeniosła się w sąsiedztwo, szlachta się śmiała biorąc za boki, a w tydzień pan assesor był we dworze Kozłowicza wyprowadzić śledztwo o gwałcie popełnionym przez włościan na osobie samego pana. Ma się rozumieć, wypierał się z początku, lecz gdy ten zabrał się do sporządzenia protokołów, musiał podobno dobrze

się prosić pana assesora z nadwerężeniem gospodarskiej szkatuły. Ale opinji i żartów publicznych opłacić nie było sposobu; przyjeżdża do jednego z sąsiadów, a tu w bramie stoi lokaj z nahajką, ofiarnjąc się sto wyliczyć za złoty nawet. Staje w miasteczku na popasie, a tu dwa baty na krzyż ktoś maluje kredą na drzwiczkach powozu... potem ja już wyjechałem do Warszawy, a wuj jeszcze pisał mi kilka razy o figlach jakie mu płatano. Nareszcie jak dał gdzieś nurka, tak dopiero wypłynął w Krakowskiem jako marszałkowicz i człowiek świątobliwy...

— No, i cóż ty na to hę? — zapytał z ognistym wzrokiem porucznik, stawając przed eksmajorem.

— A i cóż, brzydka sprawa do d... — odrzekł machnąwszy ręką — ale znowu nic tak bardzo wielkiego...

— Jakto! nic wielkiego? człowiek oszust, mosanie, jakiś biczownik, bigot...

— Ale on ma dobre serce, wierzaj mi Jędrusiu; Bóg każe przebaczać...

— Idźże ty sobie ze swoją nauką do Reformatów i ucz owieczki kwestarskie, a nie kpij sobie ze starego żołnierza. I ty, były major Wolicki, człek honorowy, mój przyjaciel, śmiesz mi to powiedzieć? Ach! bójże się ty ran Boskich; to niegodnie, a toć jabym wolał dziś, natychmiast, wi-

dzieć moje dziecko na marach, niż żoną tego obrzydliwego kutwiarza. Słuchaj, jak ty mi nie dasz satysfakcji i nie zmusisz go wyjechać natychmiast z naszej okolicy, to go zasiekam w drobniutkie kawałki.

— Tak, tak, panie kapitanie, tedy, wedle rozkazu zasiekamy, het! — dorzucił Duszak, wywijając z ciężkością białą swą laską.

— A za co? — krzyknął Wolicki.

— Jakto za co? — powtórzył jeszcze głośniej porucznik — za wstyd dla mego domu, że taki człowiek w nim bywał i mnie podszedł.

— To mu nie daj córki.

— Jakto? ty jeszcze myślałeś, że ja trwam przy swojem.

— Ale, ale, panie kapitanie, dowiedziałem się jeszcze — wtrącił Duszak — że on tę szlifę, pamięta pan kapitan...

— No, co? pamiętam.

— Kupił od Włodarczyka za czterdzieści groszy, tę, co miała być księcia Józefa.

— Nie może być? kto ci mówił?

— O o o! wczoraj my się zgadali z Włodarczykiem, że miał starą szlifę jeszcze z dawnych czasów i ten oto... ten, ten, dał mu za nią czterdzieści groszy...

— No! widzisz... no, patrzajże. Ach podła sztuko... poczekaj, dam ja ci drwić ze mnie mo-

sanie! Otóż masz twego przyjaciela, otóż szlachetny i bogobojny oszust. Duszak, przyprowadź tu Włodarczyka zaraz, a o tem coś tu słyszał, ani mrumru... Ja tu krótko ten interes załatwię, szach mach palnę w łeb jak psu i kwita.

— Ale Jędrusiu, bój się Boga...

— Co tam, bój się, nie bój się, ja swoje zrobię. Panie inżynierze, pojedziesz ze mną, jeżeli łaska.

— Szaleńcze! daj pokój! — krzyknął Wolicki biorąc go za rękę.

— Idźże sobie do sto par djabłów, a odczep się odemnie raz na zawsze. Ty mnich, ja wojskowy; co mi tam, raz kozie śmierć i basta, ubiję, ubiję!

— Ależ panie kapitanie — przerwał inżynier — to nie wolno.

— Mnie wszystko wolno, a zresztą niech się dzieje co chce; ja już nie mogę wytrzymać z tą jędzą.

— Przecież to nic tak wielkiego.

— Co! pan się na tem nie znasz; wy inni ludzie niż ja mosanie — mówił prędko i gwałtownie, latając po pokoju. — On mię zbezcześcił, on mię na śmiech wystawił; ja wszystkim gadałem i dałbym sobie głowę urżnąć, że to szlifa księcia Józefa, a ten batożnik kupił od mego żołnierza, to nie do darowania!!



I porwał fuzję ze ściany. (Str. 89, t. III.)

I porwał fuzję ze ściany, otworzył gwałtownie swą szafkę, wydobył pulwersak z zamiarem nabijania.

— Człowiecze wstrzymaj się! — krzyknął Wolicki wyrywając mu broń z ręki. — Coś ty oszalał, czy co? chcesz być zabójcą?

— Tak, tak, zabójcą, proszę wasana.

— To pójdziesz w kajdany.

— To pójdę, a zabiję.

— A żona, a dzieci, a sąd Boży! ja na to nie pozwolę, żebyś miał mnie tu wprzód zamordować! Czekaj, ja to załatwię sam, krótko...

— Może mu kazanie powiesz, hę?

— Ależ pojadę z tobą.

— A to po co? czy go dysponować na śmierć, hę? Obejdzie się bez waszej wielebności; i tak go djabli wezmą jak swego. Nie fatyguj się. No, oddaj broń, prędzej, czas ucieka...

— I wieczność czeka! — dokończył śmiejąc się Wolicki, a chowając fuzję za siebie.

— Tak, tak, czeka — powtarzał szukając kul w szufladzie. — Ot ta, jak raz. Nie, to mała — mówił do siebie — wpakuję drugą. Ha! gadzino, poczekaj, zobaczysz co to ze mną zagrywać, bratku. Dam ja ci szlify księcia Józefa.

— Księże dobrodzieju — szepnął przestraszony inżynier — ratuj go, bój się Boga, reflektuj, bo on gotów...

— Bądź pan spokojny, ja go znam, to minie, tylko poszukaj pan żony.

Inżynier wybiegł, a rozsrożony komendant przewracał jeszcze szufladki, szukając przybitki do fuzji. Ręce mu dygotały tak widocznie, że nie mógł w nich rożka od prochu utrzymać. Twarz, owa łagodna twarz starca, przybrala burakowy kolor, włosy się najeżyły, oczy wyskoczyły, błyszcząc przeraźliwie z wyrazem jakiejś dzikiej żądzy; a pomimo to, że silił się zachować zimną powierzchowność, widać było, że furja piekielna wstrząsała nim bez ustanku. Zmarszczki i rumieńce planetami przebiegały po ogorzałem licu, pierś się nadęła, a konwulsyjne wstrząśnienia rzucały nim co chwila.

Wolicki trzymając oburącz fuzję, stał jak posąg przykuty na jednem miejscu. Oczy bezwładnie wlepił na porucznika, i poruszywszy kiedy niekiedy ramionami, uśmiechał się litościwie, jakby żałując tego człowieka, którego nieszczęść był mimowolnym sprawcą.

Zostawmy więc obydwóch przyjaciól w opisanem wyżej położeniu, a zobaczmy, co robi reszta towarzystwa znajdująca się w tej dobie pod gościnnym dachem porucznika.

Pan Tomasz zafrasowany wielce gniewem Jędrusia, spytał porucznikowej:

— I proszę ja mojej pani dobrodziejki, ten czło-

wiek to ani na jotę się nie zmienił; ta sama krew żywa, mości dobrodzieju, jak w szkołach. Powiadam pani dobrodziejce bywało, w klasie splata mu kto figla, ehe! mój Jędruś już ma pod ręką odwet; a niech go kto sobie ujmie, już mu przyjacielem na całe życie. Ale widzę, że i pani zajęta, więc nie przeszkadzam; ot zajrzę do kościoła, tylko proszę też tam zważać na męża, bo to...

— Niech pan będzie spokojny — odrzekła szukając kogoś oczyma po pokoju — to przeminie. Wolicki ma nad nim władzę, zresztą i ja go tam udobrucham...

Zapewniony tą odpowiedzią skinął na Julka i kazał iść za sobą.

— Pójdźno tu kawalerze, trzeba się Panu Bogu pomodlić, o szczęśliwą przyszłość poprosić, a przytem pogadamy sobie przez drogę.

I wyszli w ulicę postępując zwolna: stary emeryt zażywał tabakę coraz częściej, wydobywał chustkę od nosa, chował, pukał w tabakierkę, przystawał, a pomimo to nie wiedział jak zacząć. Julek znów czy przeczuwając przedmiot obiecanej gawędki, czy też czem innem zajęty, szedł ze spuszczoną głową nie patrząc przed siebie.

— No i czegoż się tak nasrożyłeś? — odezwał się przecie emeryt, — przywiozłem cię, mości dobrodzieju, do raju, a ty mi tu markotniejesz, hę?

— Tak sobie myślę -- odrzekł Juljusz — czy byto już nie czas wracać do Warszawy.

- Widzisz go jaki służbista mości dobrodzieju! Że teżto teraz tym młokosom dogodzić nie można! Wstyd panie w takim domu, w takiem towarzystwie; a toć ja w twym wieku latabym tu przesiedział, i chybaby mię kijem wypędzano. No, powiedzno Julku co ci na sercu? nie wstydź się; ja ojciec twój, ja, mości dobrodzieju znam się na tych smutkach młodości: to się jakoś połata, gdyby tego wypadła potrzeba. No, i nic nie mówisz? Pewno to panna Julja zapruszyła oko; co, nieprawda? — dodał uśmiechając się figlarnie.

— Nie, proszę ojca, wcale nie.

— Otóż źle mości dobrodzieju, powiadam ci źle, ze nie; bo cóż waćpana może innego zajmować teraz? A dalibóg śliczne dziecko: a jakie to gospodarne, a rozumne, a dobre, a skromne. Szkoda panie dobrodzieju lat dawnych, ho! ho! cobym ja tu nie nawyrabiał?!

— Proszę ojca, kiedy ja się z nią nie mogę dogadać.

— Boś kawaler z przeproszeniem głupiutki sobie, a to dziewczyna do pocałowania! — krzyknął rozgniewany zatrzymując się w miejscu. — To pod słońcem nie znajdziesz drugiej takiej kawalerze, i ty śmiesz to mnie mówić, co?

— I cóż ja temu winien proszę ojca, ale ona

sobie widocznie żartuje ze mnie: prześladuje Warszawą, wielkim światem, elegancją; ale to tak jakoś zręcznie, że ja się nie mogę wytłumaczyć.

— Ha! widzisz kawalerze, sprytna; ot w takie mi graj. Ha! ha! ha! ma go już, dalibóg ma.

— Ale nie ma, proszę ojca.

— Co ty wiesz? ma! ja ci zaręczam, ma. To zwykle miłości tak się rozpoczynają.

— Kiedy nie myślę, ani przypuszczam...

— Ciekawym ja mości dobrodzieju... — ciągnął uradowany emeryt myśląc o czem innem — mości mój dobrodzieju.... tak.... dobrze.... O! cóżem ja to chciał powiedzieć?

— Nie wiem, proszę ojca.

— Aha! zaraz, ot tak będzie: kawaler się oświadczysz dzisiaj pannie, nie ma co zwlekać; ranne ożenienie, wczesne wstawanie, widzisz mości dobrodzieju nie zaszkodzi.

Julek zaczerwienił się jak wiśnia, chciał coś odpowiedzieć, lecz stary mu nie pozwolił; a biegnąc przed nim uśmiechał się dobrotliwie machając rękoma, przechylając głową, i szepcząc do siebie urywane słowa.

— Proszę ojca, proszę ojca, ja nie mogę; niechno ojciec będzie łaskaw zatrzymać się chwileczkę! — wołał prawie w rozpaczy nasz młodzieniec ciągnąc za surdut starego emeryta.

— Dobrze, dobrze, to potem, a teraz do ko-

ścioła. *Te Deum* za pomyślność; kto od Boga zaczyna, mości dobrodzieju, dobrze zaczyna. — I nie czekając jego odpowiedzi wsunął się we drzwi, przeżegnał wodą święconą, usiadł w ławce roztwierając zwyczajną swą książkę do nabożeństwa.

Tymczasem porucznikowa po odejściu pana Tomasza skinęła na Julkę, i wprowadziwszy ją do ostatniego pokoju, kazała usiąść przy sobie i tak się odezwała:

— No, moja Julko, powiedzże mi tak szczerze, jak mię kochasz, podoba ci się ten pan?

— Który? inżynier? — zapytała nieśmiało rumieniąc się potężnie.

Matka spojrzała nań przenikliwie, dziewczyna jeszcze bardziej poczerwieniała, i kręcąc się na krześle chciała powstać.

— Poczekajno kochanie, ja się pytałam o młodego Juljusza.

— A dlaczegoż to mama się pyta?

— Ooo! jaka ty jesteś ciekawska: zaraz ci objaśnię, tylko powiedz tak, czy nie?

— Nie, wyrzekła cicho.

— Hm! to szkoda, musi to być niezły chłopiec: ależ trudno — mówiła jakby do siebie.

— Proszę mamy, to takie dziecko jeszcze: ja się z nim nie mogę w żaden sposób porozumieć.

— To też widzisz nie zaraz.... No, powiemy jeszcze, możecie czekać. Idźno też zobacz jak tam

objad stoi, bo to już południe za pasem — przemówiła, zbierając się do wyjścia.

— I mama nic nie powie? — pytała całując ją w rękę i przymilając się po swojemu. — Od niejakiego czasu w takim żyjemy chaosie, że doprawdy sama nie wiem, co z tego rozumieć; a nie mogę znaleźć chwilki na pomówienie z mamą.

— To potem dowiesz się o wszystkiem.

— Moja kochana mamo, teraz, teraz, choć słówko jedno, bo widzi mama ja taka jestem ciekawa...

— To bardzo źle, Julciu.

— Ale kiedy ja się dorozumiewam troszeczkę: nieprawdaż, że ojciec coś się dowiedział o marszałkowiczu. Ach! żeby mama wiedziała, jaka ja jestem wdzięczna temu panu inżynierowi!...

— Jak uważam — odezwała się uśmiechnięta matka — ta wdzięczność trochę zaprędko się wyrobiła w tobie.

— Eh! nie, moja mamo — mówiła zarumieniona. — Ja wiem co mama myśli; ale to nie, wcale nie. Jestto człowiek bardzo ukształcony, miły; uwolnił mię od takiego zamężcia: czyż nie można być wdzięczną za to?

—- Dobrze, bardzo dobrze: tylko żeby ta wdzięczność....

— Niechno mama się nie boi: oho! ja się pilnuję bardzo! — dokończyła poruszywszy figlarnie główką. — Boto, widzi mama, ja taka szczęśliwa

teraz, że przecie ojciec dał się przekonać o tym marszałkowiczu; odetchnęłam swobodniej, i gotowam na złość rozkochać się w kimbądź, aby nie w nim.

— Eh moja Julciu, coś ci się tak plecie dzisiaj, że doprawdy ja cię nie poznaję. Straszniеś jeszcze roztrzepana; a byłby już czas zastanowić się nad sobą.

— No, no, nie gniewaj się mamo; to ja tak sobie tylko — mówiła śmiejąc się w oczy i całując ją po rękach. — To tak w pierwszej chwili tylko, niedługo znów będę poważna: ot, wezmę chustkę od nosa, tak, złożę na środku, i zasiędę na kanapie jak jaka matrona, z taktem...

— Idź już swawolnico, idź, a nie trzpiotaj się zwłaszcza przy obcych; gotowi sobie Bóg wie co o tobie pomyśleć. Dobrze być żywą, ale tam, gdzie to przyjmą za dobrą monetę; nie znając ludzi i ich upodobań, można się najniewinniej narazić...

— Dobrze, dobrze, proszę mamy — przerwała zbliżając się razem z nią do drzwi wychodowych, i patrząc jej błagalnie w oczy — ale mama mi jeszcze powie o tem, co mi mama obiecała?

— O czem? nie pamiętam.

— O tem wszystkiem, co się to robi teraz: bo ja przeczuwam coś, ale się w żaden sposób domyśleć nie mogę.

— No, np. cóż chcesz wiedzieć?

— Najprzód co to marszałkowicz zrobił, że ojciec tak się gniewa?

— Nie wiem — odrzekła wydzierając się jej matka z pewnym uśmiechem.

— Nie wie mama, naprawdę?

— Jak cię kocham tak nie wiem, tylko puśćno mię, bo jak widzę wzięłaś mię tu w oblężenie, czy co?

— Jeszcze troszkę, zaraz pójdziemy. A o tem, dlaczego mama mi się pytala, czy mi się podoba pan Rygorski?

— No, tak sobie, z prostej ciekawości...

— Ale nie, mama żartuje: ja widzę, oho! ja zaraz poznam! Moja mameczko kochana, serdeczna, niechże mi też mamusia powie, bo ja się rozchoruję z ciekawości...

— Ale co ci tam będzie? nie bój się, będziesz zdrowa jak ryba...

— A czy on przypadkiem nie ma jakiej pretensji?

— Co za pretensji? — powtórzyla serjo matka.

— Bo ja tak sobie myślałam... że to... — bąkała spuściwszy oczy ku ziemi wyraźnie zaklopotana.

— No, i cóżeś myślała? mówże!

— Eh! to wolę już i nie wiedzieć — odrzekła wybiegając do drugiego pokoju. — Kiedy mama mi nic nie chce powiedzieć, to i ja nie powiem.

— A! widzisz kochanko, że ja miałam rację. Wstydzisz się swej ciekawości: dobrze ci tak, nie dopytuj się nigdy o to, o czem chcą starsi żebyś nie wiedziała. Cóż, nie prawda?

Lecz dziewczyna nie słyszała już tego morału, bo zakrywszy oczy, jak młoda sarna pierzchnęła z pokoju. We drzwiach od sieni, jakby na dobitkę jej utrapienia spotyka się oko w oko z powracającymi z kościoła Juljuszem i ojcem. Stary rozgniewany czegoś, trzymając syna za guzik, upominał, rozkazywał, groził palcem i tabakierką; a pochmurzony synek milczał dąsając się trochę i poruszając przecząco głową.

— Ot, i panna Julja! — zawołał pan Tomasz uśmiechając się doń mile. O wilku... nie, nie, mości dobrodzieju, o aniołku mowa, a on tuż.

— Czy to do mnie ma się stosować? — zagadnęła jeszcze cała zaplоniona stawając ze spuszczonemi oczyma.

— A tak, o pannie Julji, o pannie.

— O! to się pan omyliłeś — mówiła już przytomniejsza z figlarnym uśmiechem. — Gdzie mnie tam do anioła. Mój Boże, jakabym ja była szczęśliwa, żebym prawdziwą kobietą być mogła?

— No, alboż to co brakuje pannie Julji? Rozumiem ja to dobrze: skromność mości dobrodzieju, skromność; to tak samo jak Urszulka nieboszczka.

— Ale cóż za mowa była o mnie? nie mogłabym się o niej dowiedzieć?

— Już co o tem, mości dobrodzieju, to Julek najlepiej opowie. Zostawiam tu państwa, tłumaczcie się jak możecie — mówił śmiejąc się pociesznie. — Ja tam zajrzę do starych, bo nie wiem, co się z porucznikiem dzieje.

— Kiedy jabym wolała, żeby sam pan był tyle dobrym i w tem mnie objaśnił; bo pan Juljan....

— A cóż pan Juljan? — powtórzył pytająco stary.

— Tak... widzę... że nie ma ochoty.

— Musi mieć, proszę mojej panny dobrodziejki. On zawinił, niech się wymawia; to darmo! każdy za siebie odpowiada — i nie czekając odpowiedzi czmychnął żwawo do sieni.

Julka tak nagle zostawiona sam na sam z młodym człowiekiem, nie śmiała odejść bojąc się go obrazić; stanęła więc na progu bardzo zafrasowana, i bawiąc się pierścionkiem na palcu, czekała wyzwania. Minęła chwila, Julek się nie odzywał, ani spojrzał na nią; a stał pochmurzony z tym samym wyrazem twarzy, z jakim go ojciec zostawił.

— No, jakże panie Juljanie? — odezwała się spojrzawszy nań swemi dużemi oczyma — nic mi pan nie powie?

— Kiedy przyznam się pani — bąknął jeszcze patrząc w ziemię — ja nie mogę...

— Więc to musi być coś bardzo ważnego, lub tajemniczego — dodala nieco śmielej. — A wiesz pan jak to kobiety są ciekawe, więc tembardziej radabym uslyszeć...

— Widzi pani, w drażliwem jestem położeniu: ojciec mię przymusza...

— Do czego?

— Eh!... nie mogę powiedzieć.

— Ale przecież cośkolwiek niech pan powie: no, dopomogę panu — mówiła naprawdę zaciekawiona z figlarną minką. — Czy do wyjazdu?

— Nie.

— To może do klasztoru?

— Ale nie, owszem przeciwnie.

— To się już nie domyślę — odrzekła rumieniąc się lekko.

— Oto proszę pani, ojciec chce żebym się ożenił.

— Naprawdę?

— Niezawodnie tak.

— Więc cóż to mnie może dotyczyć? Eh! pan żartuje, musi to być co innego!?

— Słowo honoru pani daję, że tak.

— A pan zapewne nie masz ochoty? — badało ciekawie dziewczę z pewnem zajęciem.

— Właśnie że mam, tylko że... Otóż niech się co chce dzieje, powiem pani otwarcie, co tam ceremonje. Wiem, że pani się nie obrazisz, przecież serca przymuszać nie można?

— O, prawda, prawda, zupełnie się zgadzam z panem — wyrzekła dorozumiewając się wszystkiego.

— A więc, zna pani pannę Helenę Lińską?

— Znam bardzo dobrze: i to pan w niej się zakochałeś?

— W niej.

— A to bardzo stosownie: śliczna panna, bardzo dobra, bogata; istotnie winszuję panu takiego wyboru. I z nią ma się rozumieć ojciec pana każe mu się żenić?

— Właśnie że nie z nią.

— To chyba nie wie o tem, że pan ją kochasz?

— Otóż to, że nie wie, ani się domyśla.

— No, to jakżeż pan chcesz żeby zezwolił, kiedy nic nie wie; trzeba mu to wyznać.

— Ależ to niepodobna: on ma wcale inne zamiary, zgniewałby się, zresztą ja się nie mogę odważyć.

— To, czekajże pan, ja mu powiem.

— Ale...

— Nie bój się pan, ja to tak zgrabniutko, ładniutko wszystko ułożę; a przytem poproszę grzecznie, i jakby trzeba było innej pomocy, to mama się wstawi. My to umiemy dobrze takie interesa załatwiać; a zresztą i pan Wolicki się przyczyni, który, wie pan, bardzo lubi kojarzyć małżeństwa.

— Dziękuję pani bardzo za tę nadzieję — od-

rzekł mocno zakłopotany Juljusz — ale kiedy ojciec kazał pani co innego powiedzieć.

— Jakto? jeszcze co innego? mnie?

— Tak pani, bo jak mówiłem już, ojciec chce żebym się pani oświad....

— A z czemże takiem? — przerwała z pewną obojętnością, choć widocznem było, jak rumieńce występowały na lica.

— Z tem, co dla panny Heleny czuję — szepnął cicho Juljusz odwracając oczy.

— Eh! kiedy pan żartujesz sobie ze mnie!

— Słowo honoru daję, że nie.

— Więc to niby z miłością, której pan, ma się rozumieć nie czujesz? — odważyła się zapytać nieśmiało.

— To jest ja panią szanuję, wielbię, poważam. ale....

— Rozumiem, rozumiem — zagadnęła Julka nieco obrażona — nie potrzebujesz mię pan objaśniać. Naturalnie, kto kocha pannę Helenę, inna mu się podobać nie może.

— Ale nie tak, proszę pani; ja przeciw pani nic nie mogę powiedzieć, tylko że...

— Nie jestem podobna do panny Heleny, prawda?

— I to nie... tylko że pani jakkolwiek jesteś piękną...

— Daruj pan, ale ja komplementów nie lubię.

— Wszakże to nie komplement, ale najświętsza prawda.

— No, to dobrze, to dobrze, tylko pomimo tego nie podobam się panu i kochaćbyś mię nie mógł. Wierzę bardzo i nie dziwię się wcale, bo przyznam się, że co do mnie zupełnie tak samo jestem względem pana uprzedzona. Ale jeżeli pan chcesz przyjąć tą razą choć przyjacielską usługę, to całem sercem dopomogę panu; bo bardzo lubię Helenkę, i wiem, że z panem byłaby szczęśliwą.

— O stokrotne dzięki ci pani — przemówił z zapałem młodzian — do śmierci wdzięcznym ci będę. Przepraszam najmocniej, że ją może czem obraziłem, ależ staw się pani w mojem położeniu, że ja ją tak kocham, tak uwielbiam, że ona również mi życzliwą.

— Nie masz pan za co przepraszać, owszem odemnieby się ono panu należało, żem taka była ciekawa i zarazem natrętna. Co mogę, to zrobię, żeby pana kontrolera skłonić do życzeń pańskich. Szczerość za szczerosć, prawda! Po co tu te ceremonje, przymusy; powiedzieliśmy sobie o tem, o czem poprzednio wiedzieliśmy oboje: bo jużci pan przyznasz, żeby to było bardzo niewłaściwem, to nasze małżeństwo? Ja sobie prosta parafjanka, brunetka, a pan Warszawiak, i lubisz blondynki.... No, no, nie obrażaj się pan, ja to rozumiem zdrowo, a że czasem się trzpiotam jak dziecko, to tylko

jak jestem w dobrym humorze; ale gdzie trzeba być poważną, oho! ja potrafię!

— Aha! patrzno pani dobrodziejka, patrzno pani, jak się ściskają za ręce — szeptał uradowany pan Tomasz, uchyliwszy drzwi od pokoju i pokazując porucznikowej dwoje młodych ludzi z wesołemi twarzami. Co, nie powiedziałem mości dobrodzieju, że tak będzie? Ho! ho! znam ja młodość pani dobrodziejko, to ogień: pociągniesz, ot i pali się zaraz.

W rzeczy samej zbliżyła się doń młoda para, a z oczu ich patrzyła radość niezwykła. Juljan jeszcze się kłaniał, Julka uśmiechala mile, szepcząc pocichu słówka pociechy: jednem słowem z... dzenie było tak upozorowane, że porucznikowa n... wiedziela co o tem sądzić.

— Mam też do pana kontrolera maleńką proś... — odezwala się wesoło Julka stawając przed ni... w błagalnej postawie.

— Ale to później — przerwał zatrwożony Julek.

— Bądź pan spokojny, lepiej od razu — odpowiedziała potrząsając głową.

— Tak, tak, odrazu mości dobrodzieju — powtórzył stary. Po co tu zwlekać, patrzaj jaki mi sensat się zrobił. Słucham kochanej mojej panny dobrodziejki: choćby worek próśb, to wysłucham najpokorniej — dokończył z dziwnie rozkoszną miną i jakiemiś ruchami nie do opisania.

— To prosiłabym samego pana o chwilkę rozmowy.

— Jakto! pani porucznikowa dobrodziejka nie mogłaby tego słyszeć? — zapytal ciekawie.

— Owszem, miałam zamiar i mamy prosić; tak we dwie prędzej uprosimy.

— A Julek nie mógłby...

— Oh nie, nie, on tu jest winny, i nie powinien słuchać oskarzenia.

— A więc proszę moje panie dobrodziejki: służę — mówił prędko ustępując im miejsca, a na syna skinąwszy żeby się oddalił.

— Nie będzie się pan kontroler gniewał na pana Juljusza, jak ja wszystko opowiem? — przemówiła, skoro wszyscy troje stanęli przy oknie bawialnego pokoju.

— Tego nie wiem, moja panno Juljo, jak zasłużył: to darmo.

-- On nic nie winien, ale jego serce....

— No, jeżeli serce mości dobrodzieju, to z góry przebaczam, bo to i ja byłem młody. Ho! ho! wiem ja o tych wszystkich figlach serduszek!

— Ale pozwoli na to pan kontroler o co będę prosić, bo to wielka, o! bardzo wielka prośba.

— A cóżbym ja mógl odmówić takiemu szczebiotkowi, mości dobrodzieju — zawołał emeryt trącając ją po ręce, jako zadowolniony ze swego wyrażenia. — Tylko chciałbym już raz dowiedzieć

się, o co to idzie! No, jakkolwiek nazywają mnie starym pedantem, ale teraz mościa dobrodziejko jestem ciekawszy, niż wszystkie na świecie kobiety.

— I słowo pan mi daje, że nie odmówi?

— Ależ Julko nie nudź — przerwała matka — tak nie można nadużywać grzeczności pana.

— Daję słowo, daję...

— Otóż powiem panu kontrolerowi ważną nowinę: pan Juljan się zakochał!

— Ba! wtrącił śmiejąc się serdecznie emeryt — ja o tem dawno wiedziałem.

— A jak dawno? zapytała filuternie Julka.

— No, przecież to łatwo obliczyć; od czasu jakeśmy tu przyjechali, mości dobro...

— Otóż przepraszam pana, bo to już od trzech miesięcy.

— Otóż i ja przepraszam — powtórzył energicznie pan Tomasz — ale to być nie może, bo jakże to mógł zrobić nie znając takiego jak pani aniołeczka?

— A widać, że znał cherubinka innego — wyrzekło figlarne dziewczę.

— Eh! wolne żarty panny dobrodziejki, ale gdzieżby on go znalazł, chyba we śnie?

— Nie we śnie, ale na jawie, w osobie panny Heleny Lińskiej.

— Co? kogo? jak mości dobrodzieju? nie słyszałem.

— Helenki Lińskiej — powtórzyła dobitniej Julka.

— Eh! to być nie może! czy onby śmiał bez mej wiedzy, mości dobrodzieju. Nie, to żarty! Hej Julek, pójdźno tu! — krzyknął otwierając drzwi od pokoju. — On tu sam powie, on się wytłumaczy.

— Ależ dajno pan pokój — przerwała porucznikowa odsuwając mu rękę. — Cóż to dziwnego, wszak dopiero sameś pan mówił, że znasz wszystkie figle serduszek.

— I że się pan nie będzie gniewał — dorzuciła Julka.

-- To być nie może, mój ty mości dobrodzieju, to jemu się zdaje; ale gdzież znowu, hę? nie, nie.

— Kiedy tak jest w istocie, sam mi to powiedział.

— Jakto? i on śmiał, ten, ten nicpoń: wszak ja mu kazałem co innego...

— Owszem lepiej zrobił że to wyznał — przemówiła znów porucznikowa. Zdaję mi się szlachetniej jest powiedzieć komuś prawdę, niż zmyślając to czego się nie czuje, sprowadzać w przyszłości nieszczęście.

— Jakie nieszczęś ie? — krzyknął rozgniewany już dobrze eks-kontroler wiewając chustką,

trzęsąc tabakierką i spluwając co chwila. — Z takiem stworzeniem miałoby być nieszczęście?

— Może nie dla niego, ale dla niej...

— Otóż moja niedola, moja zawada, mości dobrodzieju, że nie mogę z tym chłopcem dojść ładu! Ha trudna sprawa, ma pani dobrodziejka rację, ale żeby też jeszcze z kim innym.

— A cóż pan chcesz od niej? — zagadnęła serjo porucznikowa — panna bardzo przystojna, dobra i nie biedna...

— Znamci ja ich, znam aż nadto dobrze, moja pani dobrodziejko! Skaranie boskie, widoczny cios na mnie biednego ojca, ale poczekaj nicponiu, dam ja ci za to, bez mojej woli, no proszę ja...

— Kiedyż serce rozkazów nie słucha, proszę pana — dorzuciła Julka.

— Eh! co mi tam serce, mości dobrodzieju, on nie powinien był tego robić. Ho! ho! amory mości dobrodzieju; nie będzie nic z tego, nie, nie, jakem...

— A moja prośba jeszcze panie kontrolerze, a obietnica? pięknie nie dotrzymywać słowa.

— Jaka obietnica, jaka prośba? — zapytał ciekawie.

— Wszakżem nie dokończyła...

— Więc to jeszcze coś nowego?

— Prośba, prośba wielka, na którą dał mi pan słowo.

— Może, żebym tam pojechał, i zezwolił i prosił? O! z tego moja mości dobrodziko nic nie będzie; i wolę zasłużyć na imię niedotrzymującego, niżeli widzieć tę, tę pannę moją synową. Nie pozwolę, nie, nie: albom to nie ojciec mości dobrodzieju, nie kontroler, nie emeryt?!

— Moja mameczko — szepnęła Julka całując ją z przymileniem w rękę, niechże się mama przyczyni za nim, on ją tak kocha. Ja wyjdę...

— Panie kontrolerze, uspokój się pan, pomówimy rozsądniej trochę — odezwała się porucznikowa wskazując mu krzesło. — Naprawdę ja tu nic zdrożnego w tym związku nie widzę, owszem wszystkie korzyści. I to nawet powiem panu, że wątpię, czyby ją za pana Juljusza wydali. Są to ludzie majętni, a przytem sama pani dumna nieco.

— Ot to właśnie, że i ja dumny jestem mości dobrodzieju, i znam ich jak złamany szeląg: skąpe, próżne...

— Nie, nie, uprzedziłeś się pan do nich, jest tam trochę śmieszności, ale wierz mi pan w gruncie serca poczciwi ludzie. To co było przeminie, panna jak będzie u siebie, wszystko się inaczej urządzi. Po co tu się sprzeciwiać, kiedy i skłonności ich łączą i piękna... No pozwól pan, pozwól pan, pozwól — nalegała widząc, że mięknie stary. Masz pan jedno dziecko, dlaczegóż mu zagradzać drogę do szczęścia: to byłoby okrucieństwem...

— Ale kiedy to chwilowe, potem jeszcze będą wieki niezgody...

— Zapewniam pana, że tak nie będzie skoro się kochają szczerze, a i pan będziesz spokojny o jego przyszłość, i chłopiec się ustatkuje... Jesteś pan w tych stronach, można pojechać... No pozwól pan, pozwól, bo doprawdy zgniewałabym się serdecznie...

— A... i cóż mam robić, niech i tak będzie, bo ja dobrodziejce tak ufam jak, jak... samej Urszulce mojej nieboszce... Tylko przykro mi, żem panią prosił o rękę...

— Ależ to zwyczajny wypadek, bo i Julka przyznam się panu nie miała doń głębszej sympatji.....

— Skoro tak jest, to niech się dzieje wola Boska, jadę...

Przywołano potem Juljusza, nastąpiły wyrzuty, przeprosiny, błagania i dziękczynienia, jednem słowem powiodło się wybornie jego zamysłom, i za kilka dni uradzono pojechać do państwa Lińskich z zamiarem oświadczenia młodego zakochanego.

* *
*

Kiedy się to działo w bawialnym pokoju porucznikostwa, kiedy sercowa tragedja Juljusza zbliżała się ku końcowi: konferencje w sypialnym

pokoju również na umiarkowaną przechodziły drogę. Komendant choć niezupełnie uspokojony, wszelako powiesił fuzję na ścianie, która powiedziawszy nawiasem brandki nie miała i całując serdecznie braciszka Hjacentego, pytał niespokojny:

— Ale ty mi słowo honoru dajesz, że go wykurzysz?

— Słowo, nawet żołnierskie słowo! — odrzekł z zapałem Wolicki i jeszcze ci powiem, że na ten dzień zdejmę i habit.

— Jakto... tyś nie ksiądz?

— Nie ksiądz i nie laik, tylko ubrałem się po zakonnemu, ot z dobrej woli; mieszkam w klasztorze, mam celę, chodzę na pacierze i modlitwy, ale ślubu żadnego nie robiłem, i przyznam ci się, dziś pierwszy raz jestem w habicie, który niezadługo będzie jedynym strojem byłego majora.

— Ej figlarzu! ty sobie widzę żarty stroisz z tej sukni; to nieładnie mosanie, to nieuczciwie.

— O! o! nie bój się, nie — odrzekł serjo Wolicki — ja wiem co robię i bądź pewny, żebym go nie zdjął już nigdy, gdyby nie ten wypadek. A mówię ci, pytałem go się kilka razy, panie Antoni nie masz co na sumieniu? A on jak świętoszek skruszony, sumitował mi się, że nie, broń Boże, coby znowu. A tu tak inaczej; i tę szlifę, a pfe, nieuczciwie, niehonorowo; poczekaj bratku, dam ja ci chleba!

— Eh! bobyś powiedział! — przemówił prosząc go porucznik — co ci to szkodzi.

— Nie mogę, jak cię kocham; lepiej, żebyś ty nie wiedział o tem, tylko ot siadajmy i piszmy bilety zapraszające na niedzielę. Dziś mamy co? piątek, prawda, no to się jeszcze pozjeżdżają. Dając wieczorek, uczcisz pana Tomasza i jak nas więcej będzie tem lepiej. A wina mi nie żałuj: im więcej go będzie, tem sprawa gładziej pójdzie, to konieczne.

— Dobrze dobrodzieju, u mnie w piwnicy znajdzie się jaka beczułka, a resztę się dokupi; siadajmy tedy i piszmy. Ot poproszę tego inżyniera, on to pismak, biuralista...

Wkrótce potem cała sypialnia przemieniona została w najzupełniejszą kancelarję; pióra skrzypiały, papier szeleścił, piszący tarli czupryny sadząc się na koncepta, a pan porucznik jako dyrektor chodził od jednego do drugiego, czytał, podpisywał, składał pieczętując wojskową pieczęcią, i adresując szumnie wedle tytułu i godności zaproszonego.

Na to weszła porucznikowa, ciekawa dowiedzieć się, z jakiego powodu taka cisza zaległa pokój, a zobaczywszy piszących, chciała się cofnąć napowrót.

— A prosimy, prosimy! — zawołał porucznik powstając z krzesła.

— Czy masz jaki interes do mnie?

— Tak, tak, moja Zosiu, ot widzisz, w niedzielę daję bal.

— Jaki bal?

— Ot, że to imości tak długo trzeba się tłumaczyć; bal wielki i kwita! To jest, spraszam gości, którzy będą jeść, pić, tańczyć i hałasować.

— A na jakąż to uroczystość?

— Bez uroczystości, tak sobie z dobrej woli i kwita. Przyszła mi myśl oto...

— A kiedy z dobrej woli, to dawaj sobie, ja nie zabraniam.

— O, ba! to niedość, że imość nie zabraniasz, ale tu trzeba dopomódz; przecież ja ci w kuchni pitrasić nie będę, mosanie!

— Jak ja nie wiem na co, to równie nie będę.

— Kiedy bo imość jesteś taka ciekawa, że zaraz na co, po co, za co? Proszę mojej imości, mnie się zdaje, że ja panem domu, to...

— A ja panią...

— No, to jakże ja ci tu powiem, żeby ci się chciało; ot chcesz, to np. Julki będą zaręczyny.

— A może ja nie chcę? — odrzekła zimno zabierając się do wyjścia.

— Ale ja chcę i kwita! co to znowu, bunty, czy co?

— Nie bunty, tylko powinnam wiedzieć jako żona i matka.

— Masz tobie, zaraz mi imość wyjeżdżasz z tą żoną! A czy skaranie boskie, czy co z tą ciekawością babską! jak ci się uczepi, to trzyma rękami i nogami. Mój Wolicki, powiedzno jej o co idzie, bo dalibóg ja sam nie wiem.

Na tę prośbę Wolicki szepnął kilka słów do ucha porucznikowej, ta się zrazu rozśmiała, lecz potem przemówiła poważnie:

— Spodziewam się, że pan nie zrobisz nic takiego, coby nam ubliżyć moglo.

— O nie, nie, bądź pani spokojna, to tylko prosty figiel, za który ja biorę całą odpowiedzialność.

— No, kiedy tak, to powiedzże mi mężu, ile to osób prosisz?

— Ze czterdzieści — odrzekł zamyślony — ale wiesz imość, ta niewiara mi się nie podoba. Jak on szepnął, to nic nie mówisz, a jak ja mówiłem, to się dąsasz.

— Bo mów po ludzku, nie tak: ja chcę, ja pan domu. Na grzeczności nikt nie traci, a zdaje mi się, że i nazwisko męża od niej nie uwalnia.

— Ot masz ją, jaka mi elegantka! Cóż to imość chcesz, żebym jak fircyk jaki nadskakiwał ci jeszcze i całował po rękach, mosanie: a moja droga, a moje życie, a mój gołąbku, a zrób, a bądź łaskawą...

— Tak, tak — powtarzała uśmiechnięta, poruszając twierdząco głową.

— Nic z tego moja imość; wyperswaduj sobie żeś już, mosanie, stara baba, a ja nie ten podporucznik z trzeciego pułku ułanów. Szukaj babka latka...

— No, no, przestańno z temi żartami, przestań.

— A będzie wszystko dobrze?

— Zdaje mi się, że jeszcze nigdy źle nie było.

— Ale bo ty zaraz w dąsy; widzisz Zosiu, to nie ma o co; no, nie gniewajno się nie, a ja za to walca z tobą wywinę, ale jakiego!

— Obejdzie się, obejdzie — mówiła wychodząc.

— Gadaj mi tam obejdzie, jeszczebyś mię w obie ręce ucałowała, żebym cię wziął, ale nic z tego nie będzie; znajdę ja sobie młodsze od ciebie! — dokończył zamykając drzwi za wychodzącą.

W dwie godziny już rozesłano listy. Wolicki odjechał, przyrzekając solennie stawić się wieczorem w niedzielę; na odjezdnem, jeszcze za bramą dziedzińca, coś szeroko i głęboko rozprawiał z inżynierem, a porucznik chociaż widział to wszystko i nie mógł się dorozumieć wątku intrygi, wszelako nad podziw zachował krew zimną i bawił jak nigdy swych gości.

IX.

Ledwo, że suma się ukończyła w klasztorze OO. Reformatów, gdy niespokojny pan marszałkowicz pukał do celi Wolickiego, prosząc o pozwolenie wejścia.

— Zaraz, zaraz — dał się słyszeć głos majora, a potem jakiś szelest papieru, potem zasunięcie szufladki; dopiero drzwi się otworzyły i wszedł znajomy nam pan Antoni.

— Co ci to jest? — krzyknął niby zadziwiony major — takeś mi zmizerniał?

— Eh! zdaje ci się chyba — odrzekł spoglądając znienacka w zwierciadło i głaszcząc faworyty — zdrów jestem jak nigdy. Tylko chciałem ci się zapytać, czy dawno byłeś u porucznika?

— Zdaje mi się, że w piątek.

— No, i jakże tam, zdrowi wszyscy?

— O! zdrowi, zasyłają ci ukłony i dziwią się, żeś o nich zapomniał.

— Dziękuję bardzo za pamięć — przemówił

zadowolniony — ale widzisz miałem tyle zatrudnień: stawiałem stodoły, przytem mają gości z Warszawy...

— Eh! cóż to im przeszkadza, ot już jeden wyjechał.

— Kto taki? — zapytał ciekawie.

— Ten młody jakiś inżynier.

— Tak, hm! dobrze zrobił. Proszę cię, powiedz mi, czy go ty nie znałeś dawniej?

— Nie, pierwszy raz go tam widziałem — odrzekł niby obojętnie Wolicki — ale cóż on ciebie tak obchodzi?

— Co mię ma obchodzić, tylko przyznam ci się jego fizys ma w sobie coś tak odrażającego...

— Spodziewam się, że się go nie boisz; ty, co tak sławnie w Paryżu odbyłeś kilka pojedynków, co...

— No wiem, wiem! ależ nie idzie tu o bojaźń, tylko że mi się nie podobał, i uważałem jakoś, że...

— Brał się do Julki, co? Oj zazdrośniku, zazdrośniku! Ale bądź spokojny, już ty za głęboko siedzisz w jej serduszku, żeby cię miał ktoś wysadzić.

— I to wiem — wyrzekł od niechcenia, skrzywiwszy nosem — bagatela serce kobiety; cóżto łatwiej zdobyć, jak tę bezbronną forteczkę?

— A i piękną, dodaj.

— Chyba biedną, chciałeś powiedzieć.

— No, no, nie żartujno panie Antoni; wiemy o tem, że ty nie gonisz za bogactwami... Co tam że biedna, ale ładna i uczciwa; tylko trzeba kończyć.

— Jabym też chciał, widzisz, ale nie wiem kiedy?

— Ot najlepiej będzie dzisiaj; porucznik zaprosił kilka osób z sąsiedztwa *in gratiam* przybycia swego przyjaciela z Warszawy, i ja będę, i ciebie się spodziewają; ot o szóstej przyjadę do ciebie, bo mam nawet interes w tamte strony odwieźć beczki z kapusty do Granicznej, o które się upominają.

— Więc ty na beczkach pojedziesz? — zapytał ironicznie pan Antoni.

— Nie, ja pojadę bryczką, a fura z beczkami pojedzie za mną. Ci państwo byli tak łaskawi na klasztor, że przysłali kapusty; prosili o odesłanie beczek, więc wypadałoby komuś podziękować...

— A! chyba, to dobrze; czekam cię o szóstej i skończymy interes, co?

— A skończymy — powtórzył Wolicki.

— Więc do widzenia miłego.

— Upadam do nóg.

* *
*

Już blisko była siódma godzina po południu, pan Antoni zupełnie ubrany, aby nie miąć napróżno nowego fraka z prawdziwego francuskiego kortu uszytego, zapalił cygaro także prawdziwe hawańskie, i chodząc wolnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju, zaglądał niekiedy do okna: czy tam nie widać nadjeżdżającego majora. W tej chwili i tak uroczyście przybrany pan marszałkowicz, wcale jeszcze nie źle wyglądał: świeża peruka z nieco szpakowatym włosem przylegała gładziutko do jego malej główki; zmarszczki się jakoś wyrównały na twarzy, nawet lekki rumieniec czy spodziewanego szczęścia, czy też więcej pewnego różu, ożywiał tę maskę wiecznej obojętności i zużycia. Siwe kiedyś oczki, a teraz bez koloru prawie, świeciły radośnie; frak leżal doskonale, rysując wyraźnie zgrabną figurę starca: znać, że artysta krawiec znał dobrze wszystkie ułomności grzesznego jego ciała, bo i piersi się znalazły i owo sztuczne wypełnienie pustych miejsc na plecach tak było naturalnem, jakby szanowny marszałkowicz dopiero 25 rok życia mógł liczyć. To też wyprostowawszy się ile możności, chodził z miną pełnego zadowolnienia: spoglądał w zwierciadła, poprawiał włosy peruki, pocierał białą i ubrylantowaną ręką wypogodzone czoło; a różowe myśli przyszłości jak czarowna ambrozja bogów, owiewała jego głowę i serce, sprawiając pewien rodzaj miłego chaosu i odurzenia.

No — mówił do siebie — nienajgorzej wyglądasz panie Antoni! Jeszcześ nie tak bardzo stary, żeby cię kochać nie można; ot i siła jest i żywość jest — przebąkiwał uśmiechając się wesoło i dając nieco większe i szybsze kroki. — Jak bądź tak bądź, ale będziemy mieli żonę, panie Antoni, oh! będziemy. A ślub trzeba przyspieszyć, bo to może się wydać; ten młody człowiek mię niepokoił, tak, nie mylę się, on sam; ale musiał mię nie poznać. Gdy zaś będzie po ślubie, no to i porucznik bronić się musi; moja niesława jego będzie także niesławą. Dobry interes, słowo honoru daję dobry — dokończył rzucając resztkę cygara i zacierając ręce. A! chwała Bogu że i Wolicki jedzie! — zawołał spojrzawszy w okno i wybiegając na ganek.

— A! przepraszam za niesłowność, przep. szam cię bardzo: ot beczek nie mogli wynaleźć, ale to nic, będziemy na czas — przemówił nasz major już po cywilnemu przebrany w zwyczajnym granatowym fraku i łokciowych żabotach u gorsu.

— No, proszę do pokoju, może co pozwolisz: jaką przekąskę, ale malutką z góry ostrzegam, bo mi się spieszy bardzo, i konie już zaprzągnięte.

— Jeżeliś tak łaskaw, to wiesz, herbaty bym się napił; czuję, że mi niedobrze, a tam jedzenia będzie po uszy: porucznikowa na wieki wieków zagniewałaby się na mnie, gdybym wszystkiego

choć nie pokosztował. Więc każ nastawić samowar — herbata wytrawi.

Zawołano służącego, dano mu stosowne rozkazy; koni Wolicki nie kazał wyprzęgać tylko furman, który wiózł dwie ogromne beczki z kapusty, wydostał obrok i odprowadziwszy same konie w drugi kąt dziedzińca, rozpoczął w najlepsze swój popas.

— W pól godziny dano herbatę, pan major był w najlepszym humorze: żartował, śmieszył, chwalił, prześladował biednego gospodarza, a pił tak powoli, że ósma wybiła, a oni jeszcze ani myśleli wyjeżdżać.

— Mój majorze, zlituj się kończ, bo to już mroczy się i późno zajedziemy.

— Eh! bagatelka półtory mili, będziemy na czas — rzekł filuternie nalewając sobie już trzecią szklankę. Widzisz, jeśli tak późno, to w dobrym tonie; zresztą wszyscy już będą, a my zajedziemy sobie siarczystą czwórką, szumnie; tylko każ palić z bicza co siły.

— To wiesz co, niech z twoją bryczką jedzie naprzód, a my pojedziemy razem.

— Zgoda.

— Hej! Paweł! Paweł! — krzyknął pan Antoni. Służący się ukazał w progu.

— Idźno i powiedz furmanowi tego pana...

— Nie potrzeba! — przerwał Wolicki — ja sam

pójdę, a ty ot, każ mu przynieść lepiej jaką butelczynę starego węgra: co?

— To już późno.

— Co tam późno! palniemy sobie na kuraż. My wojskowi, to bez tego ani rusz: a że i ty wchodzisz do naszej ligi, więc ciągnij bratku.

— No, to dobrze; ruszaj Paweł do piwnicy i tego weź jednę, co w samym kącie stoi, bez litery.

Gdy sługa się oddalił, Wolicki powstał zbliżając się ku drzwiom na ganek wiodącym, a w tem odzywa się zdaleka trąbka pocztarska.

— Co to? zapytał pan Antoni.

— Widać extra-poczta!

— Zkądżeby w tej stronie?

— Bo ja wiem: pewno kto ze znajomych jedzie do porucznika i wstępuje do ciebie — odrzekł najobojętniej w świecie. Ale, ale, masz też pierścionki?

— Ach! prawda, byłbym zapomniał: zaraz wyszukam. — I pobiegł do drugiego pokoju, gdy Wolicki wyszedłszy przed ganek, kazał służącemu jechać, a furmanowi szepnął parę słów do ucha.

— No, w twoje ręce, nie mamy czasu — przemówił Wolicki wróciwszy do pokoju i wychylając duży kieliszek wina. — Jeszcze drugi — mówił nalewając znowu — dobre wino nie zaszkodzi; no pijże prędzej.

W tem trąbka odezwała się tuż pod dworem, marszałkowicz zadrżał, a Wolicki śmiejąc się naj-

serdeczniej wpakował mu trzeci kieliszek naglą̨c, by się spieszył, bo kto nadjedzie i muszą się z nim dzielić.

— Eh! do djabła, to ktoś nieznajomy! — zawołał przylepiając twarz do szyby, aby ukryć gwałtowny śmiech swój. — Nie może trafić do drzwi: panie Antoni, każno poświecić!

Lokaj skoczył ze świecą do sieni, i za chwilę wprowadził już nie pierwszej młodości mężczyznę w urzędowym mundurze.

— Czy tu pan Antoni Kozłowicz mieszka? — zapytał tenże kłaniając się lekko obydwom.

— Tu, albo co? — odrzekł niedbale major, widząc, że pan gospodarz zapomniał języka.

— Czy ten sam co się przeniósł z Podola, gdzie miał dziedziczne dobra Skrzypiec?

— Tak jest: ale cóż pan chcesz od niego?

— Mam rozkaz zawieźć go natychmiast do powiatu — wyrzekł obojętnie wydobywając jakiś papier z bocznej kieszeni. Chciej pan zaprowadzić mię do niego.

— Mój drogi! mój przyjacielu — szepnął drżący pan Antoni, szarpnąwszy za frak Wolickiego — bój się Boga broń mię!

— Ja nim jestem mój panie! — wyrzekł poważnie Wolicki podnosząc się z krzesła. — Proszę mi pokazać rozkaz.

Urzędnik podał, Wolicki czytał z największem zajęciem, ale zarazem i krwią zimną.

— Tak — wyrzekł obracając się do pana Antoniego — ma ten pan rację: istotnie wzywają do jakiegoś tłumaczenia o pobicie mię przez dawnego poddanego. Ależ proszę pana ja nie mam z tego tytułu żadnej pretensji: skoro mię wybili, to moja szkoda.

— Daruj pan, ja nic nie wiem jak było, co było: kazano, wypełniam rozkaz.

— Ale bo widzisz pan... no, niechże pan siada; może czem służyć: wódeczką, herbatą czy winem? rozkazuj pan.

— Dziękuję bardzo, mnie nic nie wolno przyjmować; dziękuję...

— Ale bo to, czyby nie można jutro tego dopełnić; ja mam dzisiaj być na wieczorze...

— Ha! ha! ha! jakiś pan zabawny! — odrzekł śmiejąc się urzędnik — ja mam czekać?

— A gdybym ja nie pojechał?

— No, to są ludzie przy bramie, którzy wsadzą pana na bryczkę; a gdy wypadnie potrzeba, to i przytrzymają....

— Tam do djabła! — krzyknął skrobiąc się w głowę Wolicki. — Kiedy tak, to zatrzymajże się pan trochę, ja się wybiorę. — A do stojącego obok marszałkowicza szepnął: — bierz płaszcz i zmykaj, moja furmanka pewno daleko nie ujechała,

więc goń. Prawda panie — mówił zwracając się do urzędnika — że masz rozkaz żywego mię dostawić?

— Tak — odrzekł śmiejąc się nieco.

— Więc jeżeli chcesz ten obowiązek wiernie wypełnić, to pozwól mi zjeść kolację; a i sam może będziesz łaskaw dopomódz, gdyż w przeciwnym razie umrę ci z głodu na drodze.

— Jeżeli niedługo... — wyrzekł zagadnięty — to dobrze.

— A może i konikom obroku? bo to parę mil do miasta i droga nie tęga.

— Można — odpowiedział lakonicznie i zasiadł przy stole.

Tymczasem pan Antoni drżący i bezprzytomny, porwawszy płaszcz z drugiego pokoju, tak bez kapelusza wybiegł drugiemi drzwiami na podwórze, i dalejże ku bramie.

— Kto tu? — krzyknął stojący wieśniak zastępując mu drogę.

— Ja, no, puść mię człowieku.

— Nie wolno — wyrzekł zwracając go niezbyt grzecznie.

— Ależ to ja dziedzic; ot masz tu na piwo — szepnął wciskając mu w rękę dwuzłotówkę.

— Idźże sobie do milionset tysięcy!... skoro nie wolno, to nie puszczę! — krzyknął jakimś znajomym głosem pilnujący. I gdyby pan Antoni

nie wypił kilku kieliszków wina, i nie drżał ze strachu, to możeby go i poznał. Lecz on widząc niepodobieństwo ucieczki, prawie zrozpaczony przybiegł napowrót do pokoju, a mignąwszy na Wolickiego, z płaczem mu szepnął: — Bój się ran boskich, ratuj! stróż stoi przy bramie i nie puszcza.

— Oh! do djabła, głupi iateres... co tu począć. Ale wiesz co, nie ma innego tu wyjścia?

— Nie ma.

— To biegnij do kuchni, włóż kobiece suknie i próbuj wyjść: może kobietę puszczą...

Pan Antoni skoczył, nadzieja zaświtała, przytem strach dodał mu siły; krzyknął na lokaja w kuchni, i w minutę już przywdziewał gwałtownie spodnicę, a gorset na frak; zawiązał głowę chustką i dalejże do bramy. Ale i tą razą wybieg się nie udał: stróż jeszcze niegrzeczniej się obszedł, bo poznał go odrazu i zastraszył, że doniesie prezydentowi do dworu, że pan chce uciec, a wtedy może i zwiążą delikwenta.

Marszałkowicz tedy znowu wraca do sąsiedniego pokoju, staje zdaleka, mruga na Wolickiego; lecz ten częstując urzędnika, ani widzi tych znaków, tylko zapija w najlepsze.

— A zdejmże pan płaszcz, przecież u djabła teraz zmarznąć nie można — woła rozochocony major powstając z krzesła.

— Ale dziękuję panu i przepraszam, ja już tak przywykły, a zresztą niedługo pojedziemy.

Pan Antoni patrzy się na to, mruga, bojąc się nawet krząknąć, i gdyby popatrzył dobrze, toby dostrzegł, że pod płaszczem, ów urzędnik ma frak cywilny, lampas czapki tylko czerwoną kitajką obciągnięty, a faworyty widocznie przyprawne, bo ciągle je przyciska do twarzy, żeby tak widocznie nie odstawały.

— Panie! Panie! — odważył się szepnąć Antoni.

— A co to? jakaś kobieta, czego ty chcesz?

— Prosę jegomości, mam prośbę — wyrzekł płaczliwie nasz marszałkowicz, udając głos kobiety.

— Zaraz: pozwolisz pan na chwilę? — zapytał Wolicki, obcierając twarz chustką dla ukrycia gwałtownego śmiechu.

Urzędnik tylko skinął ręką, nachylając się również pod stół i zaczął krząkać głośniej nie mogąc się powstrzymać.

— No, a cóż, jeszcze tu? uciekajże do djabła, bo ja już dłużej wytrzymać nie mogę; on się dorozumiewa że to nie ja, ma rysopis twój, koniecznie chce sprawdzić.

— Ale jakże uciekać — przerwał z płaczem — kiedy nie puszcza?

— Jakto i kobiety?

— I kobiety.

— No to się schowaj gdzie pod strych.

— To oni znajdą.

— To może do piwnicy.

— Jeszcze gorzej, tam woda stoi.

— Ot do stu djabłów kiepsko! Co tu robić? i ja już dalipan głupieję — wyrzekł zafrasowany Wolicki.

— Mój drogi, jakeś mój przyjaciel, ratuj na miłość Boską, ratuj! — błagał składając ręce marszałkowicz — ja tego nie przeżyję...

— No, ale cóż ja ci zrobię?

— Pomyśl, pomyśl, ja ci już dam co zechcesz; człowieku miej litość w sercu!

— Ależ fe! cóż ty chcesz? nie płacz znowu.

— Nie, nie, mój drogi! ale pomyśl: tyś wojskowy, wam na konceptach nie zbywa, ja umrę jak mię on weźmie, jak pana Boga kocham, tak umrę.

— Eee! ciężka sprawa; coby tu, coby tu... tak źle, tak nie dobrze — mówił pukając w czoło i trąc czuprynę. — Ot wiesz, chyba wleź do beczki.

— Panie gospodarzu, proszę! — zawołał urzędnik — coś tam za długo te narady; czas jechać i chciałbym zaraz sprawdzić rysopis.

— Zaraz służę! no, wleź w beczkę; nie ma rady!...

— W jaką? gdzie, mówże! – szeptał trzymając go za poły nasz bohater.



...No wleź w beczkę, nie ma rady! (Str. 128, t. III.)

— Ot w tę z kapusty, co stoi przed gankiem; biegnij tamtemi drzwiami, ja się tu wymknę to cię wsadzę. No, nie ma co dumać, posiedzisz trochę, jak wyjedziemy, to i wyjdziesz.

— Ale jakże ja tam... to czuć kapustą.

— Co tam, wybieraj wóz, albo przewóz! No spiesz się, bo słyszysz, woła... beczki dobrze wymyto...

— Ja nie trafię, jak mię kochasz, pójdź ze mną.

Cichaczem tedy sunęli się na dziedziniec; wóz stał z beczkami tuż pod oknem, konie się pasły zdaleka, a przy nich spoczywał woźnica. Sprytny Wolisio, uchyliwszy delikatnie wieko beczki, wpakował doń drżącego ze strachu marszałkowicza w kobiecy strój jeszcze przybranego, i zakładając szybko kliniki toż wieko przytrzymujące, szeptał:

— Bądź spokojny, siedź cicho, ja cię niedługo uwolnię. A nie kaślnij też, bój się ran Boskich, boby cała sprawa w łeb wzięła!

Nie bardzo to i wygodnie było w owej kapuścianej beczce naszemu paniczowi, lecz trudna rada; strach wielkie ma oczy, a potrzeba najtwardszy orzech do zgryzienia; więc ułożywszy się w nowej siedzibie jak można najdogodniej, nie rozpaczał, nie narzekał, ani rozmyślał nawet o obecnem położeniu; tylko przyłożywszy ucho do wyrzniętego z boku otworu, sluchał z całem wy-

tężeniem, co to dalej będzie. Lecz mimo takiej usilności i dobrego słuchu, tylko urywane słowa, a czasem głośne śmiechy dolatywały niefortunnego więźnia Od czasu do czasu pies zaszczekał we wsi, konie parsknęły bijąc kopytami o ziemię, a paw, siedzący na poblizkiej szopie zawrzeszczał po swojemu, zwiastując niedaleką słotę.

Tymczasem furman pana dziedzica zaprzągnąwszy czwórkę do nowego koczyka, ubrawszy się w błyszczącą liberję i zamaszyście rękawem ocierając usta po dopiero co spożytej kolacji, zajechał z hukiem i trzaskiem przed ganek. Usłyszawszy to woźnica z klasztoru, i sądząc, że czas wyjeżdżać, porwał się z leżenia, i zaczął szybko zakładać konie do wozu, kłócąc się z niemi i przeklinając podług zwyczaju wiejskich furmanów.

Kiedy już ukończył to wszystko, zbliżył się do furmana dworskiego, pytając ciekawie:

— A rychło ta pojedziewa?

— Bo ja wiem? — odrzekł wąsaty dworak nie spojrzawszy nawet w stronę kolegi.

— O o o... dokądże ja tam będę czekał! Wam we cztery to lekko pójdzie, a moje koniska choć to klasztorne, ale takie hebety, że pożal się Boże!

— To jedźta, kaj wam pilno — bąknął niechętnie forszman.

— Ale widzita, nas pan kazał czekać, i czybyto nie można iść do niego...

— Nie można, bo kto wie czy i ja pojadę; jest tam jakiś urzędnik z powiatu, a Paweł mi gadal, że pono chce h a r e s t o w a ć naszego dziedzica.

— A za co? — spytał ciekawie klasztorny.

— Bóg ich ta wie za co; targują się-ta, kłócą, tego urzędnika poją...

— Kiedy tak to ja pojadę, ino powiedźcie naszemu panu, żem ja się nie mógł doczekać, a konie się wystały...

— Dobrze, dobrze, my was dogonimy.

Przez cały czas tej rozmowy, pan Antoni aż potniał ze strachu, tamując oddech, żeby się nie zdradził, i gdy furman ruszył, choć trząsł beczką niemiłosiernie, choć w niej huczało, jakby w małem piekle, on najdelikatniej przekładał pod głowę ręka po ręce, poprawiał się cichutko, i szepcąc „p o d T w o j ą o b r o n ę“ jechał nieco już pewniejszy.

Tymczasem w domu porucznika, gości jak nabił pełniuteńko po wszystkich pokojach. Co tylko żyło w okolicy, pośpieszało na ten dzień do niego, raz z życzliwości, jaką się cieszył stary i poczciwy nasz wojak, powtóre z ciekawości, co mogło spowodować tak nadzwyczajną uroczystość, gdyż do imienin jeszcze kilka miesięcy czekać

było potrzeba. Młodzież zabierała się już do tańca, część starych zasiadła do kart w sypialni, druga z panem Tomaszem na czele gawędziła dość hałaśliwie w pierwszym pokoju, bo stary emeryt wystroiwszy się w nowy frak mundurowy, z przypiętą wstążką na boku, jakoś prędko zaznajomił się z przyjaciółmi porucznika, i popijając co chwila, rozpowiadał o wielkich zdarzeniach warszawskich tak biurowych jako też i politycznych. Właśnie w tej chwili podeszłego wieku kobieta, snać żona jednego z sąsiednich dzierżawców, zbliżyła się doń nieśmiało pytając skwapliwie:

— Czy to prawda, panie dobrodzieju, że tam w jakimś szpitalu w Warszawie, brat z umarłego brata chciał zdjąć śmiertelną koszulę?

— Pierwszy raz o tem słyszę, pani dobrodziejko moja — odrzekł nieco zadziwiony emeryt, zrywając się z krzesła z pewną galanterją.

— Ach prawda, prawda — dorzucił tłusty z zadartym noskiem małżonek. — Pan nam najlepiej o tem powie: bo to trzeba panu dobrodziejowi mojemu wiedzieć — mówił dalej machając mu rękoma przed nosem, i odpychając żonę za siebie — przyjąłem tu karbowego na św. Jan, który służył gdzieś koło Warszawy, i ten huncwot, panie mój kochany, niestworzone rzeczy wygaduje o tem, a Jadwisia trzeba także wiedzieć z przepro-

szeniem, boi się tedy strasznie, i po nocach tedy świecić każe w pokoju...

— Nie tak, proszę pana — zawołała znów imość, wysuwając się naprzód a męża popychając za siebie — to nie ja, widzi pan, ale on sam tak się boi; ot i wczoraj, Jacuś jak krzyknie hu! a mój Józef: dla Boga! Bo to proszę pana, mówią, że niedawno się stało, i że ten umarły jak chwycił za rękę owego brata, to słyszę nie można było oderwać.

— A tak, tak, przyrosła — dorzucił mężulko oglądając się ze strachu na wszystkie strony.

— I jak doktorzy chcieli piłować tego umarłego rękę, to słyszę, panie, żywy w niebogłosy krzyczał...

— No i jakże się skończyło? zagadnął poczthalter.

— Jak się wyspowiadał, ksiądz pokropił, pobłogosławił — rozpowiadała dalej owa imość — to i sama się ręka odjęła.

— Dziwne rzeczy — wtrącił poczthalter, spoglądając na stojące butelki z winem.

— Aha! to ja sobie coś przypominam, mości dobrodzieju — wyrzekł uśmiechnięty emeryt — że przed kilkoma laty rozeszła się pogłoska po Warszawie...

— Ale kiedy to, widzi pan, przed św. Janem się stało; ja się umyślnie wypytywała.

— Nie wtrącajno się tutaj do nas moja Jadwisiu, ot do kobiet sobie lepiej...

— Cóż to znowu? idź sobie sam; ja taka dobra jak i ty — fuknęła obrażona, a potem zwracając się do emeryta, spytała: — No i cóż to było?

— Bajką, jak wszystkie temu podobne wieści.

— Ale nie, to prawda, ja wierzę; bo przecie i u nas jak umarł nieboszczyk kasztelan Siwicki, to proszę pana, taka była zawierucha, tak pioruny biły, deszcz lał, że aż strach; świece gasiło...

— No idźże imość, jeszcze sobie głowę strachami nabije, i w nocy znowu świece pal, a tu łój panie mój drogi.

— Zdrowie naszego zacnego pana Rygorskiego! — krzyknął z całego gardła poczthalter odsuwając krzesła.

— Niech nam żyje, wino pije!

— Zdrowie!!! — powtórzyli zgromadzeni, i wychylając duszkiem całowali na wszystkie boki emeryta, który dziękując, o mało że nie pocałował nawzajem ciekawej dzierżawczyni, uciekającej z krzykiem do pokoju bawialnego.

— Hej! ktoś zajeżdża! — zawołał przybiegając porucznik — może Wolicki?

— Zdrowie Wolickiego naszego poczciwego majora! — zaintonował poczthalter już nalawszy kieliszki. Lecz zbił go z tropu porucznik wróciwszy

z oświadczeniem, że to boczki klasztorne przywieźli.

— Co się z nim dzieje? — szeptał sobie zakłopotany komendant — już blisko dziesiąta, a jego nie ma...

— Bądź pan spokojny — odezwał się na to młody inżynier.

— A zkąd pan wiesz, mosanie?

— Już ja wiem z pewnością, i marszałkowicz będzie; tylko jeszcze prosimy o wino.

— Zaraz, zaraz — powiedział zafrasowany gospodarz i wybiegł do kuchni.

Wrzawa i hałas pijącej gromadki wzrastały co chwila: zapalono cygara, zaczęto już i śpiewać przy rzęsistem towarzystwie całusów, gościom oczka się mgliły, nosy czerwieniały, a nogi wymawiały jakoś posłuszeństwo, bo pan prezydent słynny na całą okolicę z mocnej głowy, już nie mógł przejść po jednej desce.

W pokoju bawialnym młodzież również nie siedziała bezczynnie: gorąco było duszące, otwarto okna, panny przechadzały się trzymając pod ręce, kawalerja prześladowała je nieustannie, a ztąd wyradzały się panieńskie klapsiki po rękach natrętników. Juljusz nawet się rozruchał, chustki nie trzymał przy oczach, gdyż Bogiem a prawdą pomiędzy krakowskiemi rumianemi twarzami, wyglądał wcale jeszcze interesująco.

Porucznikowa z Julką uwijały się na wszystkie strony: trzeba było myśleć o kolacji, a tu jak na złość mężczyźni zasiedli w pierwszym pokoju, i ani sposób proponować im jakie bądź ustąpienie. Dzięki szczeremu dozorowi poczthaltera, kolej za koleją szły daleko porządniej niż na drodze żelaznej; głos ginął w tysiącznych wykrzykach serdecznych uczuć bawiącego się kółka, więc zakłopotana gospodyni, nie mogąc się dopytać i doprosić, skinęła na inżyniera mówiąc:

— Ulituj się też pan nademną, i pomóż.

— Słucham; co pani rozkaże?

— Chciałabym kazać nakrywać do kolacji w tym pokoju, a tu ci panowie ani myślą wychodzić.

— Bo nie mogą? — odrzekł śmiejąc się inżynier.

— To cóż ja tu zrobię, w tamtym pokoju jeszcze ciaśniej będzie.

— Hej! panowie! — zawołał odwracając się do gości Stanisław — pani gospodyni prosi, żebyśmy się ztąd przenieśli gdzie indziej, bo tu będzie kolacja!

— A! kolacja! — krzyknął poczthalter obcierając usta.

— Co, kolacja! — zapytał taczający się burmistrz — dawaj ją tu!

— Ależ trzeba wyjść, bo jakże nakryją.

— Trzeba wyjść — powtórzył ów ciekawy dzierżawca.

— No, to wyjdźmy — dodał pan Tomasz, a wszyscy siedzieli jak przykuci nie mogąc się ruszyć z miejsca.

— Ha! widzisz Zosiu, mosanie, jak ich spoiłem! — mówił uszczęśliwiony porucznik zwracając się do żony — choć głowę utnij nie pójdą.

— A gdzież ja nakryję? potrzebne to było tak wcześnie.

— Najlepiej moja imość z kopyta! — zawołał z rozkosznym umizgiem komendant. — Tak imość, jak bele, jak bele spoiłem.

— Nie ma rady — wtrącił inżynier — tylko niech pani każe nakryć przed domem. Noc prześliczna, zaręczam wszyscy się zgodzą, a ci się nawet przetrzeźwią, bo tu taki zaduch z wina, tytoniu...

— Kiedy ja nie mam stołów takich, i nie wiem czy kobiety się zgodzą; można się zaziębić.

— Ale gdzie! wszak i teraz okna otwarte; zresztą ja to biorę na siebie. Niech pani będzie spokojna: tylko gdzie są blaty lub deski jakie, my to sami urządzimy.

I nie czekając przyzwolenia, pobiegł do sali, szepnął parę słów Juljuszowi, ten poprosił trzech jeszcze młodych ludzi, potem wszyscy wysunęli się na podwórze, i dalejże do roboty. Ale że stołów nie było tyle, więc do szukania desek: ta długa, ta krótka, ta prawie, ale znów nie ma

na czem oprzeć. Młodzież biega po różnych kątach, znosi, próbuje, nie zważając wcale na strój balowy i na to, że panny śmiejąc się z nich dogadują przez okna.

— Co to za beczki? — spytał inżynier, przyskakując do fury.

— To z klasztoru, puste z kapusty, które odwozimy tu do jednego dworu.

— A czego ty tu stoisz człowieku z niemi?

— Bo pan Wolicki kazał czekać, póki nie przyjedzie.

— To dawaj je tu, na nich położymy deski; tylko czy mocne?

— O, dębowe, prosę wielmożnego pana.

Więc rzucili się młodzi robotnicy do fury, ten za jedną, ten za drugą, zepchnęli na ziemię; a biedny marszałkowicz słysząc to wszystko, i czując silne razy wraz z ruchem wirowym toczonego więzienia, ani pisnął, czekając zmiłowania bożego.

W minutę urządzono stoły: służący nakryli, dano półmiski, i całe towarzystwo z gwarem nie do opisania, zasiadło do kolacji. Ponieważ beczkę w której siedział marszałkowicz ustawiono z samego brzegu, więc porucznikowi z tytułu gospodarza, wypadło obok niej miejsce. Wieczór był prześliczny, najmniejszej chmurki na niebie; wiatr ani dmuchnął, bo świece paliły się najspokojniej. Tylko gwiazdy miljonami ócz swoich patrzały na

tę szczególniejszą ucztę, a liście gruszki, które ją osłaniały, łamiąc w tysiącznych kształtach odbite podwójne światło, przybierały fantastyczną zieloność, dziwne formując załamki.

Kolacja trwała z jaką godzinę, przy której i młodzież tą razą więcej sobie pozwoliła spełniając tyloliczne zdrowia, zwłaszcza płci pięknej. Porucznik choć podchmielony, wszelako niepokoił się o Wolickiego; ale jak to mówi stare przysłowie, że bywa *in vino veritas*, to też powoli, powoli, rozwodząc się o swoich kłopotach zeszedł na marszalkowicza.

— A wiecie wy? co to za oszust, mosanie! — krzyknął uderzając pięścią w stół tak silnie, że biedny delikwent aż krzyknął w beczce ze strachu.

— Co, jak? — odezwało się kilka głosów nadstawiając ciekawie ucha.

— *Primo* — że nie marszałkowicz żaden!

— A ja mówiłem — przerwał ów dzierżawca — to panie chamska sztuka tedy.

— Tak, tak, musi być prawda, bo kiepskie miał wina! — bąknął poczthalter.

— A jaki hardy! — dodała któraś z kobiet.

— *Secundo*, że biczownik!

— Jakto, co za biczownik? — powtórzyli chórem powstając z miejsca.

— Bo mosanie kazał się obić swemu służącemu, nie chcąc mu wynagrodzić krzywdy!

— Nie może być! to farsa! — zawołał burmistrz.

— O! jak Pana Boga kocham, słowo honoru daję — sumitował się porucznik czerwony z gniewu i oburzenia.

— *Tertio*, że mię okpił, kupując starą szlifę od mego żołnierza, a dając mi ją jako księcia Józefa.

— Którą, tę białą coś nam kapitan pokazywał?

— Tak, tę; tę — powtórzył smutnie. — Ale ja jemu zapłacę; ha! poczekaj ptaszku, niechno ja cię dostanę w moje ręce!

— A to truteń, a to oszust, a to niegodziwiec! odzywały się zewsząd głosy oburzonych przyjaciół. — Wiesz co panie Jędrzeju, jedźmy do niego zaraz — krzyknął jakiś zawadjak — skroimy mu kurtę: co, zgoda?

— Zgoda! powtórzyło kilku.

— Nie, nie, poczekajcie; ja sam tę sprawę załatwię.

— Tak, tak — powtórzył burmistrz, aby bez krwi rozlewu, bo ja z mego urzędu....

— Idź spać z urzędem! — wrzasnął poczthalter — jedźmy: ja dam bez pretensji dwie, trzy, ile potrzeba extrapoczt!

— Oho? to już po kolacji! — odezwał się za uchem porucznika Wolicki — takeście to czekali?

— Wolicki, major, reformat! zdrowie jego, zdrowie! — zawołali chórem — i nim miał czas prze-

mówić nasz dowcipniś, już wpakowano mu kilka kielichów jeden po drugim.

— No, siadaj, jedz! — mówił komendant robiąc mu miejsce. — A cóż ten konkurent?

— Zaraz powiem, tylko daj mi jeść przez Boga żywego; wiesz że nie ma gorszej istoty nademnie wtedy, gdy mi się jeść chce.

— Nie chodźmy już do pokoju, tu nam dobrze — zaproponował inżynier, kiedy powstano od stołów.

— Ależ tu ciemno, świece pogasną? — odpowiedział młody obywatel.

— To zróbmy fajerwerk.

— A z czego?

— O! ze słomy, tak jak sobótki, na kijach — wtrącił trzeci.

— Eh! toć lepiej z beczek — mówił żywo inżynier.

— Ciekawym jakim sposobem?

— O o o! wylać smolą?

— Prawda, prawda. Hej Bartek, Tomasz, Walenty! — krzyczała szlachta na swych furmanów — dajcie tam maźnice!

— Ale zkąd beczek?

— Może gospodyni ma stare — dodał inżynier zbliżając się z błagalną miną do porucznikowej.

— Dajcież mi święty pokój, moi panowie. Na co to, jeszcze może być wypadek.

— Tak, tak — dorzuciła burmistrzowa — sześć złotych kary policyjnej, niechno mąż zobaczy.

— Ba! kiedy chrapie pod gruszką; dalej palcie! — krzyczał ów dzierżawca.

— Ależ ja beczki nie mam! — tłumaczyła się porucznikowa, widząc że trudna sprawa z pijanymi.

— Są tu klasztorne.

— Co znowu klasztorne! — wtrącił Wolicki.

— Beczki z kapusty — krzyczał młody obywatel przeciskając się do niego. — Ot zrobimy fajerwerk: beczki nie ma, a te czyje co tu furman przywiózł?

— A czy on to tu przywiózł? spytał zdziwiony Wolicki.

— Wszakże pan koło niej siedzisz, bo stoły na nich oparte.

— Ależ to nie można, co znowu, jakie pomysły, idźcież wy sobie do stu par kaczek! Cóż to, klasztor na wasze warjacje będzie łożył?!

— Dobrodzieju, dwie ci przyślę daleko lepsze! — wołał dzierżawca.

— A ja dziesięć, ile chcesz! No bracia, lać smołę — zagaił obywatel.

I mimo protestacji, odpychań i krzyków Wolickiego, zrzucono deski, i dalejże otworem lać smołę do beczki.

— Pardon! stójcie! dał się słyszeć jakiś głos podziemny.

— Co to? gdzie — zapytali wszyscy odskakując na bok — kto tu jest?

— Ja — mówił głos z beczki — na miłość boską zaklinam was, otwórzcie!

Całe grono biesiadników, częścią strwożone, częścią zaciekawione, kobiety starsze, panny, pijani i mniej pijani otoczyli beczkę, a trzymając się jedni drugich, wysuwali naprzód swe głowy, sposobiąc się w razie wypadku do odwrotu.

— Ależ odbijcie denko, bo mię smoła zaleje! powtórzył już z płaczem głos z beczki.

— No, odbić! — krzyknął porucznik. — Co to za strachy mosanie? Choćby i djabeł sam siedział, to dalej go za kark. Dajcieno jakiego młotka!

Po kilku uderzeniach wypadły kliny, komendant zerwał gwałtownie wieko, a zobaczywszy wychylającą się postać kobiety polaną smołą, cofnął się szybko, szepcąc: „wszelki duch Pana Boga chwali!“

— Ratujcie! na rany boskie, bo się zaleję smołą! krzyczał ochrypłym glosem pan Antoni, próbując wyskoczyć z beczki.

— Kto wasani jesteś? — pytał zdumiony porucznik zbliżając się powoli, gdy cała gromada potrwożonych kobiet, drapnąwszy do pokoju, wychylały głowy z okien, spinając się po krzesłach, lub stawając po framugach.

— Ja nie kobieta! — wyrzekł marszałkowicz na pół wyglądając z beczki.

— To kto u djabła? gadaj, bo lejemy smołę; dalej — krzyknął zaiskrzony porucznik.

— Nie mogę powiedzieć teraz! Bójcie się Boga wydostańcie! — molestował dalej zmieniając głos uwięziony.

— Panie kapitanie, panie kapitanie! — szepnął inżynier ciągnąc go za rękę — zdaje mi się że to pan Kozłowicz.

— Kto?

— Ten marszałkowicz!

— Chybaś wasan sfiksował, a cóż onby tu robił?

— Niezawodnie on, poznaję po głosie — i przybieglszy do beczki, choć z silnym zamachem, jednakże przewrócił takową dość lekko, a przygnębiony, zawstydzony i drżący ze strachu Kozłowicz wygramolił się na ziemię.

— To pan marszałkowicz! — zawołał dzierżawca.

— Co, pan Kozłowicz? — powtórzyły kobiety.

— Co u Boga?! prawda, on; patrzcie państwo — szepnął śmiejąc się porucznik. — To djabeł nie człowiek ten Wolicki. Hej! majorze, jesteś?

Ale majora nie było w kółku, tylko pan Antoni w stroju pół kobiecym, pół męzkim, bez pe-

ruki, oblany smołą, stał pośród nich spuszczając oczy ku ziemi.

— Eh! do miljon okrętów furbeczek bataljonów! — fuknął spluwając głośno porucznik — to zanadto, mosanie! Pójdź pan ze mną, każę cię obmyć. Złośliwa sztuka, o! brzydko; fe! zanadto, zanadto. No proszę za sobą — mówił ciągnąc delikwenta za rękę.

— Dziękuję, nie pójdę! — szeptał opierając się pan Antoni. — Panie poruczniku, jeżeli masz iskierkę litości w sobie, każ mię natychmiast odwieźć do domu, a przysięgam, noga moja tu już nie postanie; jutro się oddalam z tych stron; ja wszystko wiem i słyszałem.

— Przepraszam cię bardzo, mój panie Antoni, słowo honoru ci daję, jak pragnę zbawienia, tak nic o tem nie wiedziałem. No, przebacz, nie miej do mnie pretensji, mosanie!

— Dobrze, dobrze — tylko koni, bo ja tu umrę!

W tem, jakby umyślnie rozległ się po dziedzińcu trzask bicza, i szumna czwórka pana Antoniego zajechała przed gruszkę. Zobaczywszy swój ekwipaż, marszałkowicz skoczył na stopień, porwał leżący płaszcz w siedzeniu i nie zważając na to, że furman niby przez pomyłkę zaciął go parę razy batem po plecach, krzyknął na całe gardło: „jedź co konie wyskoczą!“

Dopiero też gdy powóz zniknął za bramą, a całe towarzystwo ochłonęło z pierwszego zadziwienia, powstał ogólny śmiech i ściskania Wolickiego. Podpita szlachta nosiła go na rękach, całowała, dziękowała bez końca. Tylko jeden porucznik nie dzielił ich serdecznej radości, bo zachmurzywszy czoło, pociągał wąsa, machał rękoma i szarpnąwszy za frak Wolickiego, — odprowadził na stronę mówiąc:

— Wiesz co, panie majorze, głupi figiel, jak pana Boga kocham, głupi, mosanie! Myślałem, że coś dowcipnego wynajdziesz, a to stare rzeczy i płaskie, to zanadto!

— Ależ bój się Boga, jam tego nie przewidział; to się samo zrobiło mimowoli...

— Gadaj mi tam, gadaj bratku, nie w ciemię ja bity; ale koniec końcem przykro mi, że w moim domu, ten, tego...

— Bajdurzysz stary, aby bajdurzyć: com zrobił dobrzem zrobił i basta! To moja zemsta i za mnie; on mnie otumanił, jam się skompromitował, mało ci, to szukaj sobie innej satysfakcji. Nie bój się, jak on tu nam da nurka, to go już oko ludzkie nie dojrzy... Proszę cię, za takie błazeństwa, za ową szlifę, to jeszcze lekka kara. Cóżto, my to znowu trutnie jakie czy co, żeby nas jak dzieci okpiwano?

Lecz porucznika nie potrafiła uspokoić taka

perswazja: i jakkolwiek udawał później wesołego, pił jak nigdy, wszelako znać było przymus i żal dręczący jego poczciwe serce. Nad ranem goście się rozjechali: cisza zwykła zaległa spokojne mieszkanie porucznika, pan Tomasz wybierał się do państwa Lińskich, a młody inżynier wysłuchawszy sążnistej perory komendanta, że pomagał Wolickiemu w wczorajszej rozprawie, odjechał na miejsce przeznaczenia, zapraszany najsolenniej przez obojga gospodarstwo, żeby o nich nie zapominał.

* * *

A teraz pozostaje mi jeszcze wspomnieć o owej miłości Juljusza i Helenki. Stary pojechał, przyjęto go grzecznie, nawet zanadto uprzejmie. Wieść o wypadku marszałkowicza już doszła uszu zazdrośnych państwa Lińskich, i chociaż cieszyli się nią skrycie, wszelako porzucili zamiary, dla jakich wyjeżdżała sama pani kiedyś do Warszawy.

Pan Ludwik kontent z tyle gadatliwego usposobienia pana Tomasza, i sam nie szczędził rozlicznych opowiadań; a że obaj mieli ten zaszczyt liczyć się do rzędu ludzi powolnych, więc wkrótce pokochali się wzajemnie, i projektowany związek najdroższych dzieci nie znalazł ze strony rodziców panny Heleny owych niebotycznych przeszkód, o których wspominała porucznikowa. Po trzech dniach

pobytu w miasteczku, wrócił uszczęśliwiony emeryt pożegnać się z komendantem. Przyszła synowa nadzwyczaj mu się podobała, bo rozpatrzywszy się bliżej, odkrył w niej wiele dobroci, łagodności i najważniejszej według niego w pożyciu małżeńskiem — rządności.

— Bo co to, panie, dobrodzieju, za kożuszek bywał tam na kawie, to z przeproszeniem nigdzie tego nie obaczysz, wyjąwszy — mówił dalej w zamiarze nie obrażenia przytomnej porucznikowej — u godnej i szanownej pani dobrodziejki.

— Eh! dziękuję za komplement, dziękuję; ale i to mię cieszy, żeś się pan dał przekonać, i zapewnił szczęście dwojga drogich mu istot.

— Tak, tak, bardzo pani dobrodziejce wdzięczny jestem; to będzie wyborna żona. Oho, to nie warszawskie dziecko, pani dobrodziejko; nie, nie, to jak moja nieboszczka Urszulka, z prowincji, mości dobrodzieju, z prowincji. I sama sobie upierze, i uszyje, i dopilnuje w kuchni: bo to my niewielcy panowie, na sługi nie mamy funduszów.

— A jakże wyprawa? kiedyż ślub i gdzie? — wtrąciła ciekawie Julka:

— Przyjadą do Warszawy, tam się wszystko ułatwi; potem marsz koleją mości dobrodzieju do Częstochowy, i mój Julek ma żonę, a ja synowę.

— To ślicznie, bardzo panu winszuję: a nie

zapominaj pan nam donieść, jak tam wszystko się powiedzie, bom ja bardzo ciekawa.

— Dobrze, dobrze, tylko ja się tyle nie znam na tych materklasach kobiecych; ot Helenka mości dobrodzieju, wszystko opisze.

— Kiedy oni są zagniewani na nas.

— Nie, nie, broń Boże: właśnie opowiadali nam całe to zajście, i wie pani dobrodziejka, tak się stary dąsał, żem go musiał hamować, mości dobrodzieju.

— Jakto na nas? — wtrąciła żywo porucznikowa.

— Nie, broń Chryste Panie: na żonę swoję; i kazał mi oto powiedzieć, że oni tu wkrótce razem przyjadą, przeproszą uroczyście, a panny do panny Julji będą miały wielki interes.

— Jakiż, jakiż? powiedzże pan, proszę?

— Nie, panno dobrodziejko, to sekret, o! wielki sekret!

— Ależ ja umrę do jutra z niecierpliwości.

— Mają panią prosić za druchnę — szepnął jej do ucha Juljusz.

— At, papla, panie dobrodzieju! Fe, człowiek co się ma żenić, brzydko...

— Owszem bardzo dobrze, bardzo grzecznie...— mówiła zadowolniona Julka żegnając się z niemi.

— No, mój Tomaszku! krzyknął porucznik ściskając go w objęciach — prędko się też zobaczymy?

— Może na tamtym świecie, drogi Jędrusiu — wyrzekł smutnie emeryt ocierając łzę z oka.

— A! prawda, nam to już i niedługo, mosanie, przyjdzie koścista pani, fiut za szyję, pójdź Kuba do wójta, pójdź!...

— Ależ da Bóg.

— Kto to wie.

— No, dajcież pokój tym prognostykom: na wiosnę, jeżeli Bóg nam pozwoli dożyć, to my tam z Julką przyjedziemy odwiedzić nowożeńców.

— Ta, ta, ta, przyjedziemy — powtórzył naśladując głos żony porucznik -- a zkąd pieniędzy?

— Nie bój się, może wygramy na loterji — odrzekła śmiejąc się porucznikowa.

— Obiecanka cacanka, a temu to... radość. Bądź zdrów kolego, niech cię tam Bóg prowadzi, a pisz! — dokończył całując go już raz dziesiąty może.

Bryczka pomknęla żwawo, wszystko troje stali jeszcze przed domem póty, póki dojrzeć ją można było; a gdy gęsty tuman kurzawy powoli zaczął opadać, i nic prócz pól, lasu i nieba widać nie było: wrócili smutni do pokoju, jakby część ich dusz poczciwych odjechała wraz z sercami starych dobrych przyjaciól.

No, to jak na teraz i koniec przygód komendanta, bo odtąd życie jego przybrało charakter tak pospolity, wypadki następowały po sobie tyle zwy-

czajnym trybem wiejskiego zacisza, że opis ich nie wzbudziłby zajęcia łaskawych moich czytelników. Marszałkowicz zniknął, wieś przez plenipotencję sprzedano; Wolicki przywdział zakonną suknię, i dziś jest jednym z najprzykładniejszych braciszków zgromadzenia OO. Reformatów. Drażni się jeszcze kiedy niekiedy z porucznikiem, częstując tabaką, ale te kłótnie są umiarkowane, bo i porucznik modli się coraz goręcej. Rany mu się odnawiają, więc skubiąc szarpie i paląc ulubioną fajeczkę, wzdycha i wzdycha: czy tęskniąc, czy żałując czego, trudno odgadnąć.

— A panna Julja? zapytacie jeszcze. Panna Julja odpowiem wam szczerze, jest dotąd panną Julją. Zawsze wesoła, zawsze szczebiotliwa, choć zmizerniała trochę na twarzy i zeszczuplała, wszelako zdrowa jak rybka i zapewne szczęśliwa po rozchwianiu się dwóch małżeństw tyle niezgodnych z jej sercem, a może i marzeniami. Młody inżynier bywa regularnie co niedziela, zostaje na objedzie aż do późnego wieczora; razem chodzą do kościoła i po spacerach, bawią się dobrze, śmieją jeszcze lepiej, ale czy z tego co będzie, trudno także odgadnąć. Bo to i panna Julja posagu nie ma, a młody urzędnik niewielką pensyjkę: więc może czekają a może i nie. Bóg to jeden wiedzieć raczy.

Jednakże gdyby który z młodych czytelników,

ujęty takim, acz niezbyt dokładnym opisem, uczuł w sobie pewien nieokreślony pociąg do naszej bohaterki, i swoje idealne marzenia znalazł tu również idealnie urzeczywistnione; to chcąc poznać na jawie ową pannę porucznikównę, niech tylko popatrzy śmielej w około siebie, niech przymknie oczy na drobne wady, a spojrzy całą mocą na wielkie przymioty, to znajdzie ich wiele, o! wiele na świecie: zwłaszcza też w naszej poczciwej ziemi, gdzie dobre Julki jak kwiaty polne wschodzą skromniutko a wdzięcznie, i choć nie błyszczą, jednak umilają ciężki trud życia doczesnemu wędrowcowi.

Panna Zofja w oblężeniu.

Gawędka wieczorna.

We dwa miesiące może po opowiedzianem dopiero co zajściu z marszałkowiczem, widzimy znowu komendanta, i to w tym samym pokoju bawialnym. — Po staranniejszym nieco ubiorze, po świeżo ogolonej twarzy i owem zaniedbaniu, a raczej usposobieniu do spoczynku, domyślić się można, że to jest dzień świąteczny, który z całą skrupulatnością starego wojaka obchodził.

Mroczyć się już poczyna, krzesla w żołnierskim szyku stoją przy ścianie, pokrowce z nich zdjęto, a porucznik przy oknie ćmi sobie najswobodniej z króciutkiej fajeczki, pykając coraz głośniej ustami jakby tem chciał wydać swe myśli na zewnątrz.

W ciemnym kątku pokoju na brzeżku kanapy, siedzi zamyślona Julka. a obok niej dawniej nam znajomy inżynier; który znowu, aby nie wysuwać dużego poręczowego krzesła, a raczej skrzydłowego oficera, zwraca się samą li twarzą w tę stronę

gdzie błyszczące czarne oczy sąsiadki, powlekają go owem łzawo-przenikliwem spojrzeniem. Czasami, gdy westchnąwszy głęboko porucznik spojrzy ku oknu, głowa inżyniera schyli się ku poręczy kanapy i muśnie cichutko pulchną rączkę dziewczęcia; czasami znowu, gdy szepnie jej co do ucha, i porucznik zwróci tam groźne spojrzenie, to inżynier zakaszle jak suchotnik jaki, szeleszcząc krzesłom, a dziewczę ruszy się także ku drugiej stronie jakby zagniewana, i wszyscy dumają milcząc uporczywie.

Nareszcie wytrząsnąwszy fajkę, przedmuchawszy cybuszek i ustawiwszy oboje w kąciku okna, przeciągnął się spazmatycznie komendant, a powstając z krzesła rzekł:

— No moja Julko, gotowaś ty do drogi?

— A na kiedy? — spytało dziewczę po niejakim przestanku.

— Zdaje mi się, żem ci już pięćset pięćdziesiąt i pięć razy mówił, że na poniedziałek rano, to jest, mosanie, ani mniej ani więcej jak jutro.

— A ja myślalam...

— Cóżeś myślała, hę? one to zawsze wyjeżdżają z tem: myślałam... nie wiedziałam... tra la, babuleńka... ale mosanie... Wasanna już nie powinna myśleć a robić i kwita, rozumiesz? — krzyknął głośniej nachylając się po nad stołem.

— Bo też kobietom nie tak łatwo wybrać się

w drogę jak mężczyznom — przerwał powstając nieśmiało pan Stanisław.

— Brońże ją, broń, jaki adwokat, mosanie! — przemówił już wolniej nieco uśmiechnięty porucznik. Wam młodym jak się co w głowie zakręci, fiu ho ho, już tak, a tak, a bo też... Nie bój się bratku, jak się ożenisz, będziesz i ty śpiewał Tadeusza.

— Eh nie! spodziewam się, że moja przyszła żona nie będzie tak wymagającą.

— Ale, ale, wierz im, będziesz widział jak to rożki im rosną, mospanie. Takie niby trusie, co to lelom polelum, za panią matką pacierz jak są pannami, a potem jak wlezie ci na kark, to ani się odczepisz.

Młodzi spojrzeli po sobie uśmiechając się znacząco, a stary najeżywszy siwą czuprynę, znowu się przeciągnął, ziewnął z łoskotem i zaczął kołować po pokoju.

— Proszę tatki...

— A co? — spytał prędko zatrzymując się na środku i zwracając twarz ku kanapie.

— Żeby to można jechać bezemnie — dokończyła powoli Julka spuszczając oczy.

— A to dlaczego? — zawołał w tej samej postawie stojący ojciec.

— Bo... bo... po cóż ja tam pojadę?... mało ich znam.

— To poznasz lepiej.

— Nie mam ubrania...

— Co znowu, nie masz?! A w czemże chodzisz?

— No, tak, ale to trzebaby coś świeżego...

— Doprawdy? jaka mi elegantka; patrzaj ją, świeżego! może do Krakowa posłać sztafetę, hę?

— Nie, ale jadąc na kilka dni...

— Choćby i na rok mosanie, to wystarczy, co masz teraz; no, no, ja mosanie i ręki nie czuję, dając a dając na te, z przeproszeniem, głupstwa, gałganki, fątelki... a ta mówi że nie ma! Oho, nie bój się mościa panno, ja wiem co to za przyczyna, wiem...

— A choćby i inna, proszę ojca, to po cóż mam jechać, gdzie się muszę nudzić przez jaki tydzień.

— Słuchajno acanna — zawołał groźnie, przyskakując do niej — gdzie rodzice się nie nudzą tam i córka nudzić się nie powinna! Oho, mądraś panno, mądra!

— Ale proszę pana porucznika, starsi potrzebują innej zabawy, innego towarzystwa... przerwał inżynier, biorąc go za rękę.

— A panny potrzebują kawalerów, hę? tak?... Ja wiem, ja wiem; ale tak będzie, jak ja chcę! Dawać tu świecę! — co to, jak krety mosanie będziemy siedzieć! — Słyszałaś Julka, świecę!

— krzyknął głośniej tupnąwszy nogą. — Że to im potrzeba sto tysięcy razy każdą rzecz powtarzać!

Dziewczę zerwało się szybko z kanapy, a porucznik chodząc znów w koło pokoju, to się zatrzymywał z na pół otwartemi usty, jakby chciał coś przemówić, to szepcąc sobie i targając siarczyście długiego wąsa, kiwał wątpliwie głową, wahając się nieco.

— Nudzić się będzie, nie bawi ją towarzystwo — powtarzał już wolniej — hm hm... czego jeszcze... Ale słuchajno, panie inżynierze — przemówił stawając przed nim i opierając mu dłoń na ramieniu:

— Wszak prawda, żeś ty człek uczciwy?

— Tak mówią...

— Ale ja to chcę słyszeć od ciebie, mosanie!

— Prawda.

— Więc kiedyś uczciwy, to po co mi bałamucisz dziewczynę już od kiku miesięcy?

— Ja, ja... ten... nie mam zamiaru...

— No, skoro nie masz zamiaru — przerwał mu gwałtowniej szarpiąc za ramię — to się żeń, albo idź do djabła! Co to, mosanie, jeździć, tego, stękać, gruchać jak synogarlica, jak, jak... mosanie, a tego nic. Ja stary jestem człowiek, ale wiedz, panie, nosa zadzieram; ho, ho tak, wysoko! Nie wiem, czy tam modnie u was czy nie

modnie, ale ja tego jednem słowem nie lubię i kwita!

— Ależ panie poruczniku, na wszystko trzeba czasu, musimy się poznać...

— Hola, bratku, nie zmykaj! jużeście wy się poznali...

— Przecież nie dawno sam pan porucznik mówił...

— No, co mówił?

— Żeby im nie wierzyć...

— Eh, głupstwo mosanie! ja ot tak na wiatr mówiłem, bo mię to już gniewać zaczyna. Nie myśl sobie, żebym cię tu chciał łapać, albo przymuszać; nie! broń mię Chryste panie; ale widzisz, ja wszystko po wojskowemu przyjmuję: raz, dwa, trzy, chlast — i rzecz skończona. Bo tu nie o to idzie, czy ona pójdzie za mąż, czy nie pójdzie: „mąż, żona, od Boga przeznaczona;“ ale ją rozamorujesz, i zajdzie ci jaki fiks do głowy, to pójdziesz sobie do djabła, a dziewczyna kwękać mi tu będzie, czego wcale sobie nie życzę.

— Ależ, panie poruczniku, tak lekko mię sądząc...

— Co lekko, wyście wszyscy tacy w dzisiejszych czasach, to wam się zdaje nic, mosanie, że tam...

— Za pozwoleniem — przerwał żywiej pan

Stanisław — kto chce ptaszka, musi mieć wprzód klatkę.

— No, to sobie kup.

— A jak nie ma za co?

— To się obejdź bez ptaszka, mosanie, i sideł nie zastawiaj!

— Ale może, ja się spodziewam...

— Co tam może, co się spodziewam, ja o niczem wiedzieć nie chcę. Powiadam ci ostatnie słowo, żeń się, albo do djabła marsz! — i wykręciwszy się na pięcie, pobiegł ku oknu, bębniąc jakąś pobudkę po szybach.

— Proszę pana porucznika — odezwał się zamyślony inżynier, postępując za nim — niech pan będzie tak dobry i wysłucha mię cierpliwiej: ja mam szczere zamiary, tylko dziś nie mogę się stanowczo zdecydować, nie dla tego...

— Słuchaj panie Stanisławie, tylko no uważaj spokojnie: tra ra ra, tra ra ra, czy to nie francuzka pobudka?

— Nie wiem, ale...

— Wsłuchaj no się dobrze: tra ra ra, tra ra ra, ra, ra, ra!

— Więc kiedy tak - odezwał się biorąc czapkę młodzieniec — to upadam do nóg pana porucznika!

— Ha! jedziesz? więc i ja upadam do nóg, żegnam mosanie, żegnam!

— I pan porucznik mię nie wysłucha? — mówił patrząc błagająco w twarz starca, a nie wychodząc z pokoju.

— Zdaje mi się, że ja dość wyraźnie powiedziałem, długich gawęd nie lubię, tak albo nie, i kwita!

— Ależ tak, tak, i tysiąc razy tak; tylko nie dziś, nie jutro...

— A któż ci się oto pytał, mości inżynierze, dobrodzieju, hę? Mnie tylko chodziło, czy ty myślisz na serjo, czy tylko ot czas zabijasz; a teraz to wierzę twemu słowu i jestem spokojny, a czy się ożenisz za miesiąc, rok, dwa, trzy, to mnie wszystko jedno

— Skoro tak się zrobiło — przerwał młody człowiek z pewnem wzruszeniem — to racz pan porucznik przyjąć moją najgorętszą prośbę...

— Nic nie raczę, mosanie, nic nie przyjmuję! — zawołał odskakując od niego i trzepocząc rękami jakby się bronił od pocałowania. Ho, ho, mosanie dobrodzieju, takie rzeczy robią się formalnie, przy świadkach, uroczyście. Jaś nicpoń wymknął się od tego, ale wasan, panie Stanisławie, musisz mi i za niego beknąć. Tak, tak, inaczej ani słucham. Ot widzisz, w przyszły czwartek, da Bóg doczekać, moje imieniny, więc tedy, żeby to jakoś jedno z drugiem... uważasz, hę!

— Uważam — uważam — odpowiedział nieco zakłopotany młodzieniec, nie ruszając się z miejsca.

— No i cóż, czegoż tak stoisz? — a pójdźże, niech cię uściskam; patrzaj go, on myśli, że ja do niego pójdę, mosanie!

I jak się obadwaj chwycili w objęcia, jak zaczęli całować na wszystkie strony, a podnosić kolejno, to młody inżynier czerwieniąc się jak wiśnia, miał sposobność przekonania się o sile przeszło już sześciodziesięcioletniego starca.

— Tak mosanie, tak; jak ja kontent, to kontent, prawda! No jeszcze raz, mój poczciwy chłopaku! Ale, wyrzekł po chwili poprawiając rozrzucone wąsy, skoro interes już na pół ukończony, to powiedz mi ta szczerze, po przyjacielsku, dla czegoś zwłóczył i coś też na prawdę myślał zrobić.

— Proszę pana porucznika, mam szczupłe fundusze, a spodziewając się awansu, czekałem korzystając z pozwolenia państwa i tak mile czekałem... Co zaś do postanowienia, to przecie mówiłem pani porucznikowej...

— Co, ona wiedziała? — krzyknął zadziwiony komendant.

— O! już od miesiąca.

— A ja... to... dla czego? — wołał poruszając się z gniewem.

— Prosiła, żeby panu nic nie wspominać.

— Jak to? ona, i ty prawdę mówisz?

— Najprawdziwszą, panie poruczniku.

— At tobie herod baba! zawołał splunąwszy głośno i szarpnąwszy wąsa. Poczekaj, matuleńko moja, mosanie!

— No i cóż tak wielkiego — wtrącił pan Stanisław — ja toż samo myślałem, żeby panu kapitanowi powiedzieć, ale pani mówi, że córka do niej należy.

— Widzisz ją, do niej mosanie, do niej; jaka mi samowładczyni! — A kto, kto mojego chłopaka ożenił, co? — hę? — A kto mi figla zrobił sprowadzając jakąś lustrację, hę? — a kto... a kto... ona, ona; powiadam ci, wszystko robi, jak jej się żywnie podoba! Ono to za wiele!

A ja myślałem, że po ostatniej reprymendzie już się mosanie baba ustatkuje i przecie tak będzie skakać, jak ja zaśpiewam. Ale otóż widzisz: wszystko sekrety, wszystko tajemnice; ha, źle i kwita!

— To pewno ostatni raz, mówił inżynier — jak się pani dowie, że to jest przykrem dla pana.

— Co też ty gadasz bratku! — chyba że pierwszy raz w życiu widzisz kobiety. To ja ci powiadam mosanie, że baby są ani mniej ani więcej, jak te koty stare — rzuć go z trzeciego piętra, zwiąż, skrępuj mosanie; zawsze taki bach na nogi.

I po tych słowach zaczął kolować coraz to szybciej po pokoju — stawał kiedy niekiedy, tarł

czuprynę machając rękoma, wreszcie jakby coś pomyślawszy, uśmiechnął się pociesznie, a porwawszy za ramię inżyniera, szepnął do ucha:

— Wiesz, wet za wet, figiel za figiel! — powiadam ci dobrodzieju mój, że jeżeli aby słówko piśniesz przed matką, albo przed Julką, jakem komendant nie pozwolę.

— Ale o czem że?

— No, o tem cośmy tu mówili; o tem co ma być w przyszły czwartek.

— I owszem, skoro tak pan porucznik chce.

— Nie tylko chcę, ale proszę, błagam, każę. A! — zawołał przytkawszy sobie usta i spoglądając na uchylone drzwi od sypialni — masz tobie! może one słyszały... czekaj, ja się dowiem.

W istocie, szmer pewien jakby z suwania szuflady słychać było w sąsiednim pokoju, porucznik więc cichutko na palcach przysunął się do drzwi, wsadził głowę rozpatrując się do koła — a spostrzegłszy jakąś postać siedzącą w kąciku, krzyknął: — A kto tu jest?

— No ja; — czegoż tak krzyczysz — wyrzekła porucznikowa zasuwając dolną szufladę, przy której klęczała.

— A bo też jak koty pociemku siedzicie; gdzież Julja? jak poszła po świecę, tak i przepadła.

— Jak się tu zapytać — myślał sobie porucznik, powiem prosto — to się domyśli, powiem że sekret — jeszcze gorzej będzie, ciekawa jak sto par furbeczek. Ot głupstwo, że ja z temi babami na żadne wykręty zdobyć się nie mogę...

— Dawno tu siedzisz, Zosieńku? — spytał głośno przysuwając się do niej.

— Niedawno, albo co?

— Eh nic, tak ot się pytam. Milczy — mówił znowu do siebie — źle, albo wie, albo nie wie, no naturalnie jedno z dwojga. — Eh do djabła, zła sprawa, ta kobieta jak kamień, już wolałbym żeby teraz gadała, żeby mi skoczyła do oczu z wyrzutami — no, ale nic, sprobujemy.

— Wiesz kochanie, jest tam w pokoju pan inżynier.

— Wiem.

— Rozmawialiśmy.

— Słyszałam.

— Co słyszałaś, hę? No, i cóżeśmy rozmawiali?

— Dajże mi pokój, albo ja tam uważam.

— No, moja droga, cóż też naprzykład, powiedz; może się domyślasz, o czem też?

— Nie nudź no mię; a czyż ja mogę wiedzieć.

— Ale tak domyśl się, choćby zgadnij!

— O tytoniu?

— Ale nie!

— O Marszałkowiczu?

— I to nie!

— To już nie wiem.

— Ale ty wiesz, kochanie, przyznaj się; widzisz jabym tak chciał, żebyś ty nie wiedziała.

— To też nie wiem.

— I nie zaciekawia cię to?

— Jużbym też chyba nie miała co do myślenia, żebym na wasze gawędy zwracała uwagę.

— Z wami to zawsze tak: be me, ale... i nic się nie można dowiedzieć. Ale oto wyjdźże tam do niego, sam jest, nudzi się.

— Czy ty nie wrócisz?

— Muszę tu trochę pozostać, mam interes.

— A zobaczywszy, że ona zabiera się do wyjścia strzepując suknię, wybiegł jeszcze raz do tamtego pokoju szepnąwszy inżynierowi: „rozmawiaj z nią takim głosem jak ze mną, ja podsłucham.“ Usiadłszy więc koło szafy, wytężył słuch swój na każde brzmienie głosu obojga, lecz nie mogąc rozróżnić wyrazów, wstał zupełnie uspokojony, a kazawszy podać świecę, przyłączył się do ogólnej rozmowy.

* *
*

Podano wkrótce herbatę, przyszła i burmistrzowa z synem, dziś już wyrostkiem co się zowie i zarazem aplikantem w biórze sąsiedniego powiatu. Mama pełniejsza i różowsza niż przed

kilku laty, z powodów jej tylko wiadomych, rozdzielała włosy nie na środku czoła jak dawniej, lecz tak od lewej strony po męzku, dowodząc, że taka moda w Krakowie. Syn znowu zgarbiony wyrostek z rudemi rzęsami u oczu i mnóstwem takichże pręgów po twarzy, w przekonaniu mamy uchodził za ładnego młodzieńca, bo nosząc wywinięte kołnierzyki, obszerny frak z szerokiemi rękawami i tańcząc polkę w lewo, musiał się wszystkim podobać.

— Ot i reprezentuję mojemu państwu syna, odezwała się siadając na środku kanapy. Prawda pani droga, jak on to wyrósł i wyładniał, a jak tańczy, mój ty mocny Boże! Powiadam państwu nie chwaląc się, wszystkie kobiety przepadają za nim. Jedyne dziecko! dodała całując go w czoło i sadzając przy sobie.

— A prawda, wyrósł — powtórzyła machinalnie porucznikowa, gdy kręcący się chłopiec nie wiedział co z sobą zrobić i tylko gładził włosy, krząkał głośno kłaniając się nieustannie.

— I jak się o niego dobijają!

— Któż taki? spytał inżynier.

— A wszyscy, panie; pan naczelnik i pan rachmistrz i sekretarz; ten go chce do swego bióra, ten do siebie, ten do siebie; bo też uważa pan, wszyscy są żonaci, mają córki... ale on nie chce i nie chce — prawda Edziu, że ty nie chcesz?

— Tak, nie chcę, nie chcę — wybąknął młodzik ruszając się niezgrabnie.

— A dla czego nie chcesz, moja duszko?

— Dla czego ja nie chcę? bo panny nie umią tańcować na lewo.

— Ha ha ha — jak doskonale, ha ha ha, umrę ze śmiechu! — wołała pani burmistrzowa przeginając nie giętką swoją figurkę i czerwieniąc się coraz bardziej. — Jaki dowścipny! Proszę pani — mówiła zwracając się ku porucznikowej — widziała pani kiedy, jak to tańcują polkę na lewo?

— Nie, nie widziałam.

— To możebyś.... słuchaj no Edzio, zatańcuj z panną Julją.

— Ależ ja nie umiem, nie umiem, wołało dziewczę, zatykając śmiejące się usteczka.

— I muzyki niema — wyrzekła porucznikowa.

— Ono pan inżynier z Warszawy, to musi umieć jaką, zaśpiewa albo zagwiżdże. Mój Boże, nie chwaląc się, nasz sekretarz tak ślicznie gwizda przy gitarze, że aż nogi skaczą w tańcu... Możeby posłać po niego... Edziu, prośże panny Julji.

Ale jakby na szczęście tej ostatniej, wniesiono herbatę z sucharkami, które nadzwyczaj lubiła pani burmistrzowa, więc taniec odłożono na później. Porucznik czegoś był w niedobrym humorze, zżymał ramionami co chwila, targał wąsa powstając i siadając nieustannie na krześle. — Po

herbacie dano konfitury, które również bardzo lubiła pani burmistrzowa, więc dokładając sobie, a jeszcze więcej Edziowi, nie miała czasu, nie chwaląc się, wynosić pod obłoki nieocenione przymioty powiatowego eleganta.

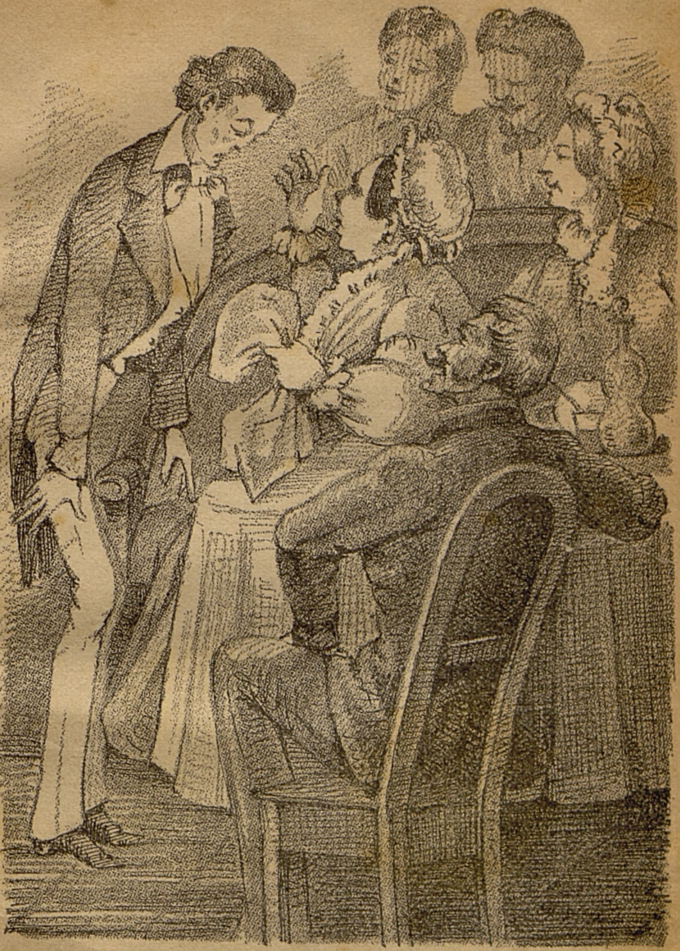
— Ostrożnie, moja duszko, ostrożnie — mówiła pakując mu pod szyję serwetę, — splamisz białą kamizelkę, a to proszę państwa, niechwaląc się, sama mu kupiłam w Krakowie — bo w czemżeby się pokazał na balu.

Lecz zarozumiały i milczący bohater, nie chciał posłuchać najzdrowszej rady matki, a odsunąwszy serwetę, z widoczną przyjemnością zaczął połykać rubinowe maliny. Tymczasem po drugiej stronie stołu, pan Stanisław siedząc przy Julji, z niezmierną ciekawością przypatrywał się rzędowi gałek z chleba, a odczytując zapewne dość miłe dla siebie wyrazy, odwdzięczał się jeszcze lepiej stawiając nowe szeregi.

— Eh, co wy tam mosanie czytacie? przerwał porucznik nachylając się ku nim. Rzęd kulek i kwita!

— To bardzo miła zabawka — dorzuciła porucznikowa — można nic nie mówiąc rozmawiać.

— A jakimże to sposobem? zapytała burmistrzowa. — Edziu, naucz no się, bo widzisz, pan inżynier jest z Warszawy, to musi być bardzo zabawne.



— Coś też ty zrobił najlepszego! — krzyknęła burmistrzowa, częstując go potężnym kułakiem. (Str. 171, t. III.)

— Bardzo prostym — mówiła Julka, — te kulki na dole znaczą samogłoski, te zaś u góry spółgłoski.

— Doprawdy — spółgłoski, rozumiem; to bardzo dowcipne — dorzuciła burmistrzowa nic nie rozumiejąc. Edziu, a słuchajże!

Lecz Edzio wolał zajadać konfitury, i teraz gdy wszyscy zwrócili oczy w stronę tłumaczącej im dziewczyny, on pośpiesznym ruchem przykładał sobie na talerzyk, i w tej właśnie chwili, gdy matka przemówiła „Edziu, a słuchajże“, podniósł się szybko, a talerzyk z konfiturami brzęk na ziemię, zostawiając rubinową strugę po białej kamizelce i takichże pantalonach. — Wszyscy w śmiech, a chłopiec skoczywszy jak oparzony od stołu, zakwitł konfiturowym rumieńcem.

— Coś też ty zrobił najlepszego! krzyknęła zaiskrzona burmistrzowa, częstując go potężnym kułakiem. No moi państwo, nowiutka kamizelka z Krakowa, panno Juljo wody! mydła! dla Boga! a prędzej! na nic, na nic! i biegając na około zasępionego chłopaka, tarła serwetą nie serwetą, chustkami, herbatą, wodą, wymyślając nań co tylko zmieścić się mogło.

Julka trzęsąc się od śmiechu wybiegła do kuchni, inżynierowi ledwie oczy było widać, tak się zasłonił rękoma, porucznik brał się za boki siadając na kanapie, a tylko sama porucznikowa,

wstrzymując się ile możności, pomagała burmistrzowej obracającej chłopaka na wszystkie strony.

Nareszcie gdy mimo usilnych wycierań, rozpinań i coraz częstszych kułaków, kochany Edziuśko z narzuconą na czoło czupryną, zabierał się najpoważniej do płaczu, rozgniewana burmistrzowa porwawszy kapelusz, wyprowadziła go za rękę nie pożegnawszy się z nikim; bo prócz urywanych słów: poczekaj, dam ja ci w domu, nie chwaląc się, w Krakowie dwanaście złotych, niezgrabiaszu, nic więcej dosłyszeć nie można było.

Jeszcze z dziesięć minut po wyjściu tyle zabawnych gości, pozostali — nie mogli przyjść do siebie. Co które spojrzało na drugiego, wnet serdeczny śmiech ogarniał wszystkich; — porucznik machając tylko ręką wołał: dajże pokój, ach, ach kolki zeprą, — no już dosyć... Julka chichotała w najlepsze, a inżynier płacząc od śmiechu, z trudnością prostował rysy swej twarzy, tyle pokurczone były niezwykłą wesołością.

— Ot kawaler powiatowy -- przemówił porucznik — jak go palnęła za plecy, mosanie, to myślałem, że dusza mu gardłem wyskoczy.

— A jak go zaczęła trzeć ostrą ścierką po twarzy, to biedny Edziulko takie śmieszne miny wyrabiał — dorzucił inżynier.

— A widział ojciec, jak on zapinał ten frak z szerokiemi rękawami... mówiła jeszcze się śmie-

jąca Julka, bo to proszę mamy, on myślał, że zakryje, więc i tak do góry i na dół, i chustką z szyi i od nosa zasłaniał, wyborny, wyborny!

— Ha, dość takich Edziów na świecie — odezwał się porucznik — zawsze i wszędzie, siać ich nie trzeba, rodzą się jak grzyby po deszczu. Pamiętam i u nas w pułku był taki oficerek młodziutki, nazywał się — nazywal się Szczekot...

— No, cóż ty znowu zaczynasz?... przerwala porucznikowa, patrząc się dziwnie na niego.

— Moja żonusiu kochana, ja im powiem tą historyjkę, hę?

— Ciekawam na co?

— Co ci szkodzi; no nie gniewaj się duszko...

I szepnął jej coś do ucha, a głośno: dobrze?

— Dobrze, dobrze...

— Otóż widzicie — mówil stary komendant zapalając fajeczkę — trzeba wam wiedzieć, że to i ja kiedyś byłem ziółko, mosanie. Człek mlody, krew paliła, to i robiło się głupstwa; więc chcę wam tu opowiedzieć jedno prawdziwe zdarzenie, jakie mialem w roku, w roku, już nie pamiętam, dość że to było przed 1830.

Staliśmy mosanie wtedy na kresach koło Łowicza; nasz pułk szaserów mial wprawdzie dość starego żołnierza, no i oficerowie nie byli także świstaki: wszystko to mosanie pod tęgim wąsem,

jeden w drugiego Napoleonczyki, — bo czy to do pitki, czy do bitki, a do buziaków choć najmij.

Pułkownik mieszkał w Łowiczu; jako człowiek w salonie — anioł, choć do rany przyłóż: słodziutki, naskakujący, grzeczniutki, wszystko to mosanie delikatnie, na paluszkach; ale w służbie powiadam wam, pies nie człowiek.

Przychodzi służba u niego; ehe, już na tydzień bywało, człek się boi do stu fur beczek, bo to uważajcie on tak nie huknął: a taki a owaki a ten, tylko umiał jakoś to wszystko tak cierpko a niby grzecznie, całował a kłuł na wszystkie strony.

Zdaje mi się, ja wam już mówiłem o tej siwej szkapie francuzkiej, co to jeszcze z Napoleonowskich ułanów dostała się do nas. Stary to był klak, no i na jedno oko nie widziała; ale jaka służbistka, o to nie pytaj. Już to wszystkich rekrutów wyuczała musztry. — Bywało przychodzi nowy oficerek, konia nie ma jeszcze swego, pułkownik woła: dać mu Drapakę! bo tak się nazywała. Chłopak się krzywi, a pułkownik: to nic nie szkodzi, mój panie, ona może twego ojca nosiła mosanie, siadaj no panie, siadaj! — i ten rad nie rad słuchał jej jakby najlepszego instruktora.

Otóż ten Szczekot paniątko, mówili, że to i bogate i wysoko pono urodzone, tak jakoś pod zimę przyszedł do nas z piechoty. Wypadła pierw-

sza musztra, pułkownik wśród śmiechu całego szwadronu usadził go na Drapace.

Z początku mój Szczekot, żeby się to pochwalić mosanie, że nie rekrut do konia, zaczyna szarpać koniskiem przy zwrotach; moja Drapaka widzę zżyma się djablo, strzyże uszami, opiera się, ale idzie. Aż tu jedną razą kiedy zakomenderują: „plutonami marsz!“ — oficerek jak ją zep... a do tego nie tak jak należało, moja Drapaka ...łeb pod siebie, tylnemi nogami fik w górę, a pan Szczekot plackiem na front, gdy ona sama ani drgnie z linji! Cały szwadron o mało co nie pospadał z koni; jużeśmy się tak śmiali, że rozłoszczony pułkownik, nie mogąc nas powstrzymać krzyknął: „cicho mi zaraz, bo jak nie, to cały szwadron marsz do kozy!“

No, ale to jeszcze nie to co ja wam chciał... powiedzieć: widzicie, jak się człowiek rozgada, ... i końca i miary nie ma; i to dobre i to dob... to zabawne, ot zwyczajnie jak się zdarza temu, co nie od dziś żyje na świecie i był tu i tam, pod wozem i na wozie, słowem służył wojskowo. Naprzykład i o tej Drapace co ja bym wam nie naopowiadał.

— To też prosimy, prosimy — przerwał inżynier z błagalnem spojrzeniem — ja tak lubię owe czasy, w których życie miało jakąś właściwą sobie barwę, trudną dziś do określenia. — Bo to czas

był niejako przejścia, pewnej formacji społecznej.

— A tak, tak, najwyraźniej tak — ale gadajże ty z moją, naprzykład: ona ci powie, że to nudne.

— Naturalnie — przemówiła gospodyni — skoro kto dziesięć razy jedno powtarza.

— O moja wasani kochana już też nie zmyślaj, tobie ani jednej rzeczy dwa razy nie powtarzałem.

— Alem słyszała.

— To nie słuchaj mosanie, zatkaj uszy i kwita. a nie przeszkadzaj tym, co chcą słuchać. Widzisz ją, jaka mi oratorka; możebyś imość chciała, żebym ci o falbankach, o czepkach rozmawiał, hę?

— Aby tylko zajmująco, to będę słuchać.

— No i patrzaj mój kochany, co im to w głowie. Tfu do miljon furbeczek, baby zawsze baby: daj jej złoto, ona woli szkło co się błyszczy. A toż ja ci mówię, żeby tu byli tacy co spisują dawne rzeczy, toby mię po rękach i nogach całowali, żebym im tylko po całych dniach rozpowiadał. No, ale na czemże stanąłem?

— O tej miotle... szepnął inżynier.

— Jakiej miotle? zawołał porucznik.

— No, tej starej klaczy.

— A, o Drapace, zkądże ci się znowu wzięła jakaś miotła?

— Eh, bo to u nas starą miotłę tak nazywają — odrzekł śmiejąc się inżynier — ale słuchamy

— Więc mówię owa szkapa oprócz musztry rekrutów, służyła jeszcze ot tak na posyłki: jak bylo potrzeba wody przywieźć, śmiecie wywieźć, a za to dawali jej najlepszy obrok, nie czyścili tak srogo jak inne konie, słowem, mosanie, była takiem szwadronowem popychadłem.

Raz pamiętam, przyjechałem na ordynans do pułkownika, a że to jeszcze zawcześnie było, więc wstępuję do naszego lekarza, u którego mosanie było z piętnastu oficerów, podoficerów, chorążych, bo ani wiedziałem, że to jego imieniny. Ten doktor Szelkowski, chłopak nie stary, tak w czterdziestym roku może, ze wszystkimi za panie brat, a był wysoki, pleczysty jak fura z sianem. Zawsześmy żartowali z jego odwagi, bo jakkolwiek udawał zucha, nadrabiał miną, i gadał Bóg nie wie co o swojej odwadze, wszelako tchórza przez skórę poznasz. Jak mię tedy wzięli między siebie; a Jędrusiu, a kolego, a serdeczny, a kiep ten co nie wypije, a za kołnierz wlejemy; dość mosanie, że w pół godziny ululałem się jak nie boskie stworzenie. Ile razy sobie przypomnę, że tu trzeba iść do pułkownika, to mię mrowie przejdzie, bo wiedziałem, że on tam zaraz z słodziutkim komplementem wystąpi: „a gdzież to pan porucznik tak ubrał się spirytualnie?“ Ale myślę sobie, pal djabli, wysłucha się wszystkiego przytuliwszy uszy i kwita. Więc piję z drugimi poncz nie poncz,

wino nie wino, et cetera et cetera, potem zasiadamy do kart i gramy w najlepsze.

Przy dużem weneckiem oknie stało długie niezgrabne stolisko, więc obsiadamy go z trzech stron i lancuś idzie zajadle. Z jednej strony odemnie siedział Szelkowski, dalej Trzeciak, oh! już dawno umarł biedaczysko; dalej Pozowski, i ten zginął... za nim Soterski, no, ten gdzieś tam się tuła po świecie; a z drugiej strony zawadjaka pułkowy pan kapitan Wywróć; za nim znowu ten oficerek Szczekot... dalej —

— A dokądże tam tych dalej będzie? przerwała porucznikowa — i dalej i dalej, i ten i ten, a toż ty cały pułk wymienisz.

— Moja imość nie przeszkadzaj no, ja cię proszę; nie podoba ci się, to marsz do łóżka, a nam daj święty pokój!

— Ale bo możesz, Jędrusiu —

— Ale nie możesz, Zosieńku, i kwita! Że też to ona minuty nie wysiedzi spokojnie, żeby co piąte słowo swoich trzech groszy nie wściubić. Tak mówię jak umiem, rozumiesz!?

— No, więc mówię dalej; ale na czemże stanąłem? Djabli nadali, że te kobiety jak trajkotki nad uszami, tra ra ra, tra ra ra, i człowiekowi się wszystko pomięsza. Aha, wiem: otóż na oknie przy stole stała trupia główka, zwyczajnie jak u doktora. Kiedyśmy się już zagrali, ja patrzę co

mój Szczekot jakoś blednie a spogląda ku owej główce. Spojrzę tam, a moja główka co trochę to dryg podskoczy, dryg podskoczy jakby żywa. Mrowie mię przeszło po skórze, bo chociem nigdy nie stchórzył, ale takie nadprzyrodzone rzeczy, mosanie, to muszą zelektryzować. Trącam tedy doktora i pokazuję palcem; ten jak zobaczy, jak zblednie naraz, że wszyscy ilu nas było wlepiliśmy oczy w niego, śmiejąc się najpocieszniej. Aż tu jedną razą zerwie się kapitan Wywroć i powiada: „ja ją obejrzę mosanie!“ potem wysunie rękę, gdy pani głowa, chlust do góry, i pac na stół pomiędzy pieniądze kręcąc się w jednem miejscu.

Wszyscy w nogi; jeden przez drugiego z hałasem, krzykiem jak mógł zmykał na schody. Mój Szczekot się przewraca w progu, woła: ratujcie! doktor nogę stłukł o poręcz; Wywroć ani słowa nie może przemówić, a my stoimy nie wiedząc co się to znaczy. Ale po kilku minutach spojrzeliśmy po sobie, wino ze strachu już i wyszumiało w głowach, tfu, mówię do miljon furbeczek, wstyd, i sunę naprzód. Hola! hola! — woła Wywróć, ja panie, zacząłem, ja skończę! i odpycha mię na bok, a sam marsz do pokoju. Patrzymy, główka przewrócona leży spokojnie, tylko jakiś skrawek czarny z niej wystaje; zbliżamy się do stołu, ów skrawek się rusza; aż tu jak go pochwyci uradowany kapitan, i powoli mosanie wyciąga ogromnego

szczura. Dopieroż śmiech, wymówki, a tyś uciekł i tyś uciekł, a tyś się przewrócił i t. p.

Siedzimy znowu i gramy, a w tem wpada jeden z podoficerów na służbie będący i powiada, żeby każden natychmiast stawiał się na swojej luce, bo jutro jenerał przejeżdża i depesze wprzód iść będą. O źle, myślę sobie, jak się tu dostać do domu. Konia nie ma żadnego, trzy obłożone mile do mojej kwatery, deszcz rznie jak sto furbeczek, piorun za piorunem wali, aż ziemia się trzęsie, a w głowie mosanie kołuje się wszystko i ani rusz!

Pytam się podoficera: a masz ty jaką szkapę?

— Nie ma, panie poruczniku, tylko Drapaka jedna. No i cóż robić! daj Drapakę, woleć już najgorzej jechać, niż najlepiej iść. Przyprowadził tedy owa szkapę, ja wsiadam mosanie, ciemno, choć oczy wykłuj; drogi ani rozpoznać, ale jadę. W zamąconej głowie i takiem rozstrojeniu, koniecznie zdawało mi się że trzeba jechać na prawo. Nadaremnie Drapaka się zżyma i słuchać nie chce, nadaremnie używa zwykłych forteli, ja mosanie siedzę jak kamień i jadę. Było już dobrze po północy, przemokłem do suchej nitki, febra mię trzęsie jak stofurbeczek, a tu las i las, a o wsi ani słychu; nie ma co myśleć—zbłądziłem. Skweres panie, nuż depesza przyjdzie, nuż jenerał nadjedzie, a tu mnie nie ma. Kłopot i nic więcej. Kiedy się tak bieduję sam z sobą, czuję że moja



...Aż tu jak go pochwyci uradowany kapitan i powoli wyciąga ogromnego szczura. Dopieroż śmiech... (Str. 180, t. III.

Drapaka koniecznie chce gdzieś skręcić; a skoro tak, pomyślałem, jedź na złamanie karku, już gorzej nie zabłądzę. Więc puszczam cugle, szkapa jak skoczy w lewo, jak pójdzie przez wyręb nie wyręb, zagony nie zagony, dość że wpół godziny wpadła na dobrą drogę, a za kwandrans byłem u siebie. No cóż, nie przemyślne konisko, hę? Ona odbywając tę drogę ze sto razy, wiedziała którędy się do stacji jedzie, a człek był uparty i dlatego zmókł i zziąbł za wszystkie czasy.

Moja Juljo nabij no fajeczkę, bo widzisz już mi ckliwo, a daleko do końca.

— Jak to? przerwała porucznikowa, to jeszcze nie koniec?

— A nie, nie, moja imość, najważniejszego wypadku jeszcze nie powiedziałem.

— Skoro tak, to bywajcie państwo zdrowi, ja spać idę. Julko, pójdź ze mną.

— Z Panem Bogiem, z Panem Bogiem, moja imość; upadam do nóg! i porucznik z całą elegancją dawnego wojaka ucałował rączkę małżonki.

— Moja mameczko, moja mamusiu kochana, jeszcze z pół godziny.

— Ależ to za długo, już blisko dwunasta, a on by wam tu i do rana rozpowiadał. Zresztą pan inżynier musi jechać, noc ciemna....

— O, bądź pani spokojną, deszcz nie pada, a

moje konie oba tak jak Drapaka już dobrze znają tę drogę.

— Ale... wtrąciła Julka patrząc mu żałośnie w oczy.

— Cóż ale? pani chcesz, abym pojechał?

— Nie — to jest, ja chciałabym i nie chciałabym... ale proszę tatka, jest fajka, słuchamy.

— Na drugi dzień — mówił dalej komendant przybijając paznogciem tytoń w króciutkiej fajeczce —pokazało się, że to wszystko było bajką. Ani jenerał myślał przyjechać, ani depesz nie było, tylko ten żminda pułkownik, tak przez zazdrość, że my się dobrze bawimy, umyślnie figla nam wypłatał.

Po południu leżę sobie w mojej kwaterze w stodole, bośmy woleli tam, niż w zabrudzonej chłopskiej chałupie; pogoda prześliczna, po owym deszczu wszystko jakby na nowo odżyło, pewna woń, świeżość dolatywały mię z ogródka; ja kurzę fajkę i myślę sobie tam o różnych rzeczach. Aż tu patrzę, ścieżką od domu, idzie ktoś bardzo żywo, macha rękami, rozbija gałęzie, podnoszę tedy głowę, a tu mój Szczekot pędzi prosto do mnie.

— Panie poruczniku, jeżeli Boga kochasz, ratuj!

Ja się zerwałem na równe nogi mosanie — patrzę, czy on broń Boże przy zdrowych zmysłach, ale widzę, że tak jest, tylko strasznie skrzywiony, rozmazgajony, ot, jak każdy zakochany.

— Ale przepraszam cię, panie Stanisławie, za takie wyrażenie, bo to widzisz chciałem powiedzieć: nieszczęśliwy. I czegożeście tak poczerwienieli oboje? mówił porucznik patrząc się na nich z uśmiechem, ale to jakby na komendę, oboje naraz.

— Eh, mój tatku — przerwała Julka.

— Oj, stary, stary! dorzuciła matka pokiwawszy głową.

— Zobaczy pan porucznik, że ja się odemszczę za to i wydam.

— Proszę cię! ani mru mru, bo wiesz, słowa dotrzymam.

— A cóż to takiego? spytała Julka.

— Nic, moja panno, ot lepiej słuchaj: pytam go, co się stało? a on, oh! ja nieszczęśliwy, zabiję się, nie przeżyję — i tym podobne facecje mi wymyśla. No, ale cóż przecie? bo jakże ratować nie wiedząc o co rzecz idzie; cóż, strzeliłeś do pułkownika? — Nie. — No, to przegrałeś w karty skarbowe pieniądze? — I to nie. Mówże już raz, jak się należy, albo ruszaj sobie do miljon furbeczek!

— Kiedy ja nie śmiem... bąkał patrząc mi w oczy; a widząc, że mię już passja porywa, mówi: mój kochany poruczniku nie żartuj ze mnie a dopomóż; ot po prostu zakochałem się!

— Tam do kata! otóż i nieszczęście.

— A, nieszczęście! bo dzisiaj oświadczyłem się, i ciotka ani słyszeć nie chce o ożenieniu.

— Dobrze robi, mosanie — dla żołnierza koń przyjaciel, szabla żona. No, ale żart na stronę, jak to było?

— Tak, że w tym domu, gdzie moja kwatera, mieszka stara ciotka z siostrzenicą prześliczną Zosią....

— Fe, co znowu! przerwała krzywiąc się porucznikowa.

— Dajno imość pokój, cóż to, ty jedna ładna Zosia na świecie? nie przeszkadzaj, bardzo proszę, i znów szepnął jej coś do ucha.

— I tyś się chciał żenić z tą Zosią, tak?

— A tak!

— A ciotka nie chce pozwolić?

— Tak.

— No, to się nie żeń.

— Eh, poruczniku! miej litość, nie szydź ze mnie, ja ją tak kocham!

— A ona?

— Ona? no zdaje się, że mię kocha.

— Więc z nią o tem nie mówiłeś?

— Nie, ale ze wszystkiego wnoszę...

— Głupstwa wnosisz, tu panna grunt, zobacz się z nią, pomów.

— Ale, mówi — kiedy ja pewny jej wzajemności.



...Naprożno byś się silił, ja za wojskowego
siostrzenicy nie dam. (Str. 185, t. III.)

— Kiedyś pewny, to czegoż chcesz odemnie?
— Żebyś porucznik był taki dobry i poszedł sam do tej ciotki Heroda w najwyższym stopniu i przedłożył jej, żem bogaty, że kocham jej siostrzenicę, że chcę się z nią ożenić... No, wahasz się mój poruczniku, mój drogi, mój kochany, zrób to dla kolegi, ja do śmierci wdzięczny ci będę... I tym podobne plótł androny do tego stopnia, żem ja przyrzekł na drugi dzień zrobić to, czego odemnie żądał.

Jadę tedy do Łowicza nazajutrz, a pamiętam była to niedziela i jeszcze jakieś święto uroczyste; więc przystroiwszy się porządnie, zakręciwszy mosanie wąsa, nieźle wyglądam i rżnę wprost do tej imości. Czy zastałem panią tę a tę? pytam jakiegoś żeńskiego dragona, ot na podobieństwo naszej burmistrzowej.

— Ja jestem, panie, czego pan żądasz? odrzekła prędko zaciskając wargi.

— A skoro tak — mówię — więc pozwól pani, niech sobie odpocznę; mam większej wagi interes, przeto tak na prędce nie jestem w stanie go wypowiedzieć.

— Słucham pana — odpowiada nie siadając wcale, snać obrażona moją śmiałością—ale uprzedzam go, że jeżeli to ma być w intencji pana Szczekota, napróżno byś się silil, ja za wojskowego siostrzenicy nie dam.

— A dla czego, jeżeli wolno spytać? mówię powstając ostro z siedzenia.

— Tak, bo wojskowi wszyscy nic-warci, hulaki, gracze, awanturniki, letkiewicze....

— Wstrzymaj się asani do miljon furbeczek! bo patrż kogo masz przed sobą.

— No, wielkie rzeczy, nie tacy u mnie bywali...

— Bywali nie bywali, ale ja sobie tu ubliżać nie dam; i dla tego pytam się wasani, dasz siostrzenicę czy nie?

— Nie! krzyknęła zaperzona odskakując na bok.

— No, to ja imości mam honor powiedzieć, że nie byłbym tym, kim jestem, jeżeli ona nie będzie żoną wojskowego, albo starą panną na całe życie, rozumiesz!?

— Dobrze, zobaczymy! wolę, niech zgnije starą...

— Ja niechcę, ciociu, ja niechcę! zawołała w tej chwili wpadając Zosia.

— A do pokoju mi zaraz! krzyknęła zamykając drzwi za nią, ale jam już zobaczył tę śliczną główkę Zosieńki, te czarne granatowe włosy, te czarno świecące oczy, smagłą twarzyczkę i śliczne koralowe usteczka, których widok, przyznam się, jakieś mile wspomnienie wywołał.

Wychodzę, jednak zły jak nie boskie stworzenie, a klnę na czem świat stoi; bo widzicie, już zawsze taką miałem naturę, że jak się roz-

gniewam, to panie zmiluj się, rąbałbym co się tylko natrafi. Nie uszedłem jak dziesięć kroków, aż tu zabiega mi drogę mała dziewczynka, i pakuje do ręki karteczkę. Rozwijam, patrzę, nabazgrane ołówkiem te wyrazy: „Jutro o ósmej będę w kościele i pana Andrzeja proszę, żeby się widział ze mną, Zofja,“ dalej przypisek: „tajemnica jak najgłębsza.“

— Co u kaduka, myślę i zkąd ona wie, że mnie na imię Jędrzej, a to co znowu?

W drugiej sieni tego samego domu, już czekał mój amorek, i zaraz: a cóż?, a jak? a będzie co z tego?.. obsypuje mię pytaniami, caluje, ściska. Ja się wyrywam i mówię: dziś nic, jutro będę wiedział, baba ani chce słyszeć o tobie, i t. p.

Wiecie, że wojskowi nie są zbyt ciekawymi, bo kobiecych usposobień nie mają, ale tym razem, powiadam wam, rady sobie dać nie mogłem.

Na drugi dzień tedy, mosanie, walę ja rychło świt do kościoła; modlę się a patrzę, i punkt o ósmej jest moja imość zakwefiona jak furgon z amunicją. Ja się kłaniam — ona nie; ja krząkam — ona ani drgnie, a tylko się modli a modli. Myślę sobie: albo chybiłem, albo dziewczyna zadrwila ze mnie, mosanie. Więc tedy zly jestem jak sto par furbeczek, i gdyby to nie w świętem miejscu, to jakbym byl zaklął mosanie, no! zobaczyłaby, co to drwić z porucznika szaserów. Ale kiedy tak

sobie koncypuję, moja imościanka żegna się, całuje posadzkę i marsz z kościoła. Ja za nią, aż tu przed kruchtą, jak odwinie one zakrywadło, ja spojrzę — zgłupiałem na nic mosanie. Powiadam wam, było to ani mniej ani więcej, tylko panna Zofja, którą przed rokiem poznałem był w Lublinie, no i miałem do niej pewne intencje.

— Tylko też nie zmyślaj, mój mężu, przerwała ziewając porucznikowa.

— Słowo ci daję mosanie, i słowo żołnierskie, że tak było — odrzekł szybko porucznik z błagalnem spojrzeniem.

— Ba, to jeszcze gorzej! zawołała śmiejąc się porucznikowa; ja myślałam, że ty mnie tylko prawdziwie kochałeś, a tu się dowiaduję...

— Ale dajno pokój! no prawda, że tak, ale widzisz... eh, otóż nie, i kwita; ja mówię dalej:

Znaliśmy się z ową panną Zofją, ale to jej rodzice a raczej matka, ani słyszeć nie chciała o małżeństwie takiem; potem nasz pułk wyszedł z Lubelskiego, panna przepadła gdzieś jak kamień w wodę, bo choć się dowiadywałem, pisałem w różne strony, nic i nic. Więc możecie sobie wyobrazić, jak mię to wszystko zadziwiło, gdy gawędząc przez drogę od kościoła, moja panna opowiedziała mi, jak po śmierci matki, zabrała ją do siebie stara ciotka, suchotnica baba; jak ona od tego Szczekota dowiedziała się, że nasz pułk tu

stoi, jak go namówiła, żeby mię przysłał i t. p. Rada w radę — kiedy co tu zrobić? Ja nie wiele myśląc mówię do niej: panno Zofjo, wszak prawda, że mię ty kochasz, no i chciałabyś podzielić ze mną moje żołnierskie życie, hę?

- Tak! mówi, o tem wiesz dawno. No, ja odpowiadam mosanie; skoro taką masz wolę, to choćby djabeł na djable jechał, musisz być moją żoną, i kwita!

Na drugi dzień zaraz opisuję ja całą sprawę pani ciotce i w końcu onego siarczystego listu dodaję mosanie: że jeźli waćpani nie zezwolisz, to ja wedle wszelkich praw taktyki wojennej biorę moją pannę w oblężenie."

Tu porucznik zatrzymawszy się nieco, popatrzył w około siebie jakby szukając czegoś oczyma; Julka zerwała się ku oknu, i podawszy ojcu ulubioną jego fajeczkę wraz z pęcherzowym kapciuszkiem, usiadła na swojem miejscu.

— No i jakże dalej? spytał inżynier.

— Jak dalej? ot tak mosanie, że we dwie godziny wołają mię do pułkownika. Ehe! myślę sobie, już to tam mój list u niego. I tak było; bo ledwie co wszedłem do pokoju, on zaraz słodziutko: Co to, panie poruczniku, w czasie pokoju masz chęć wojowania i to z kobietami?

— Tak, panie pułkowniku — odrzeknę z uszanowaniem.

— A jakbym ja też pana kazał wziąć w oblężenie, hę?

— To, panie pułkowniku, znalazłbym zastępców i co postanowiłem, wykonam.

— A jakby i zastępców...

— To pan pułkownik — przerwałem — samby nam dopomógł, bo zdaje mi się, mosanie, że i my tyle warci co inni, no a może i więcej; a skoro jakaś tam mosanie baba śmie powiedzieć, że wojskowi są nicponie, to do miljon furbeczek i sam naczelny wódz poszedłby z nami dla honoru armji.

— Ależ mój panie poruczniku, takie gwałty...

— Słowo żołnierskie daję, że tu bez gwałtów się obejdzie; ale trzeba nauczyć ich co to znaczy oficer z pułku szaserów, mosanie. Choć po królewnę sięgnij mosanie, tego, a muszą...

Ujęło to jakoś mego pułkownika, bo opierał się coraz to słabiej, aż w końcu, gdym mu całą historję opowiedział, mówi:

— No, dobrze! rób pan co ci się podoba; ja o tem nie wiem i wiedzieć nie chcę; pamiętaj, nie wiem!



...kiedym go wprowadził, tak był przestraszony, że oczy stanęły mu słupem, włosy najeżyły... (Str. 191, t. III.)

A trzeba wam wiedzieć, że jakoś w tydzień potem, Szczekota przeniesiono do Warszawy, ja pozostałem w Łowiczu; sprosiłem kolegów i opowiedziawszy rzecz całą zażądałem pomocy. Obstawiliśmy tedy dom do koła, i kto się tylko pokaże mosanie, zaraz: a po co? a zkąd? a do kogo? dość, że pani ciotka rzucała się od gniewu, mdlała, spazmowała, historje wyrabiała, ale to nic nie pomagało.

W drugim tygodniu, zajeżdża jakiś koczyk mosanie, a w nim elegancik czupurny wprawdzie, tylko że to wymuskane, wychuchane, ot, nie przymierzając, jak nasz marszałkowicz. Mnie już naprzód donieśli, że to konkurent do Zosi, którego ciotka umyślnie sprowadziła. Czekam tedy, jak wyjedzie z domu, a czekam dość późno w nocy; straże rozstawione, koledzy u mnie na kwaterze piją, słowem, czekamy. Około jedenastej — powóz ruszył, aż tu za bramą: stój! Panicz się zląkł, krzyczy jak nieboskie stworzenie, ja go mosanie za kark i do pokoju. Pamiętam, kiedym go wprowadził, tak był przestraszony, że oczy stanęły mu słupem, włosy się najeżyły, a ręce dygotały jak w febrze.

— Słuchaj, panie — mówię doń z powagą pokręcając wąsa — po co tu przyjechałeś? On nic.

Ja drugi raz, on powiada, że starać się o pannę Zofję. Więc rzeknę tak: panna Zofja nie dla ciebie, bo ja ją mosanie kocham i ona mnie także, rozumiesz?!

— Ależ ciotka?

— Co tam ciotka, ty słuchaj tylko: jeżeli się odważysz przyjechać tu raz jeszcze, rozprawisz się ze mną! A jak ja zginę, czego się wcale nie spodziewam, rozprawisz się oto z tym panem! i wskazałem na kapitana Wywroć.

— A jak ja zginę — mówił tenże śmiejąc się do rozpuku — rozprawisz się z tym panem — i wskazał na Szelkowskiego.

Szelkowski znowu: a jak ja zginę...

— Nie chcę, nie chcę, nie przyjadę! słowo panom daję — krzyknął na całe gardło uciekając z pokoju. Dajcie mi tam pokój! Zaraz — mówię — nie umykaj bracie, więc skoro słowem zaręczasz, więc pij tu za nasze zdrowie! Rad nie rad więc przesiedział do rana i więcej go już oczy nasze nie widziały. -

Tym sposobem, mosanie, odstraszyłem jeszcze dwóch, których imość ciotka posprowadzała. Trzy miesiące upłynęło, baba zła jak sto par furbeczek, nikt do niej nie zajrzy, każdy się boi, a taki zawsze powiada, że nie pozwolę i nie pozwolę. Mnie już to niecierpliwić zaczynało, ale cóż ro-

bić, myślę sobie, czekajmy. Oblężenie, mosanie, idzie zwykłym porządkiem, a nawet coraz bardziej obsaczamy dom imości; ta się dąsa, sroży, bundziuczy, trzy razy na dzień biega do pułkownika, ale ten słuchać nie chce, zamyka się i baba powraca z niczem.

Czwartego miesiąca oblężenia, imość ciotka zamyśla o wycieczce. Już od dwóch dni widzę niezwykły ruch w domu, pakują tajemnie, szeptają, uśmiechają się, a ja tylko patrzę i śledzę. Trzeciego dnia wieczorem, odbieram karteczkę w której stało tak: „Dziś o pierwszej w nocy mają mię wywieźć, konie czekają w tyle za ogrodem. Panie Andrzeju ratuj!“ A skoro tak, myślę sobie mosanie, to dobrze, prędzej się zakończy. I zaraz tedy rozsyłam moich do koła, dwóch pakuję w ogród, czterech przed bramę, a sam z kilku kolegami wysuwam się cichaczem z kwatery i dalejże z patrolem. Za ogrodem w istocie stoi bryka duża krakowska, zaprzężona parą koni, ale obszedłszy mur do koła, nie widzę żadnego wyjścia. Czy to baba wyskoczy balonem, czy co? — mówię do kolegów; a w tem słyszę klaskanie w ręce; moj furman zrywa się czemprędzej z kozła, zabiera obrok i gotuje się do jazdy. — Baczność tedy, panowie!

Po niejakim czasie, prawie naprzeciwko nas za murem, dochodzą nas, mosanie, szepty kobiece

jakby swary jakie: „ja nie pojadę — musisz, nie pojadę, no idź w górę! potem płacz, potem znowu cicho, nareszcie szelest się powiększa, czujemy, że przystawiają drabinę... Mur się sypie, gałęzie trzeszczą, i za chwilę pokazuje się jedna postać kobieca, w której poznałem moją Zosię, potem druga, sama widać ciotka, trzecia służąca. My stoimy jakby przylepieni do muru, kobiety ciągną z tamtej strony drabinę, przekładają na naszą; schodzi naprzód służąca, za nią Zosia, a wtedy ja kiedy nie wyskoczę i nie krzyknę: „stój!“ a potem łap za drabinę i bach ją na ziemię.

— Matko przenajświętsza, ratuj! — zawołała ciotka stojąca na murze.

— A ratuj, ratuj! — ja mówię i wprost do panny Zofji — jestem na rozkazy.

— Ach, to pan, panie Jędrzeju!

— Ratunku, rozbój, napad! — woła baba z muru.

— Wołaj, wołaj! — ja mówię — ale tu nikt nie przyjdzie; panno Zofjo, jedziemy!

— Co? kto? z kim?

— Ze mną, moja mościa dobrodziejko — rzeknę kłaniając się do góry.

— Ja nie pozwalam.

— Wolno, moja pani.

— Zosiu! jeżeli mi coś bądź dobrze życzysz,

jeżeli nie chcesz, żebym cię przeklęła, Zosiu moja najdroższa, Zosieńko, nie chodź!

— Ależ ciociu moja kochana, to pan Andrzej, o którym tyle razy cioci mówiłam.

— Tem bardziej, że on, za te same przykrości...

— Ale ja go kocham ciociu!

— Nie pozwolę!

— Ależ to szczęście moje...

— Cicho bądź! jaka rezolutna, do domu zaraz. Kasiu przystaw drabinę!

— Kiedy panowie mi nie dadzą — odpowiada śmiejąc się służąca.

— Jeżeli, moja pani dobrodziejko, zezwolisz natychmiast i to dobrowolnie na nasze małżeństwo, na które i ś. p. nieboszczka matka jej zgadzała się, to przystawimy, a jeżeli nie, to jakem porucznik, słowo żołnierskie ci daję, przesiedzisz tam do rana a ja Zosię uwiozę.

— Patrzno pani jeszcze — dorzucił mój kapitan — jak się to chmurzy, błyska, pioruny bić będą niezawodnie, deszcz lać jak z rynny do kroćset, a do bab to, panie, pioruny ciągną.

— Matko wielkiego miłosierdzia! — krzyknęła ciotka załamując ręce — Zosiu, Zosiu, ty mię nie odstąpisz!

— Skoro ciotka nie chce mojego szczęścia, toć ja go sama poszukać muszę.

— Ja cię wydziedziczę.

— Zupełnie mi to obojętne.

— Przeklnę.

— Pan Bóg nie usłucha.

— To choć za tydzień, panie poruczniku — przemówiła do mnie z płaczem na pół — niechno wrócimy z podróży.

— Tra la la, babuleńko! ale, wrócimy tego, będę ci tam czekał. Panno Zofjo, proszę z nami!

— A no stójcie! — zawołała — pozwalam, pozwalam, tylko ani grosiczka nie dam!

— Schowaj imość na pogrzeb, schowaj! Ja nie potrzebuję twoich groszy; a skoro pozwalasz, to jest drabina.

Zeszła tedy imość ciotka, cała drżąca ze strachu i gniewu; my dopiero w prośby, przepraszania, całowania; ona się dąsa i wymyśla mi, Bóg wie co; my znów błagamy, znów prosimy, wreszcie ujęta widać tem wszystkiem, kiedyśmy już przed domem stanęli, przemówi: „No, skoro się już tak stało, to proszę panów do siebie.“

Jak się tedy ruszymy, jak moja ciotka wystąpi z kolacją, to powiadam wam, kiep stół hrabiowski naprzeciw tego. I widzicie, na tem niech będzie koniec. Ha, cóż panie inżynierze dobrodzieju, prawda, że my się nie tak kochali?

— Mój tatko, ale cóż się dalej zrobiło?

— Co, mosanie? zwyczajnie pobraliśmy się i kwita.

— To tatko miał chyba dwie żony?

— Ależ bój-no się żywego Boga, zkąd znowu taka definicja: dość z jedną miałem kłopotu.

— Więc to mama była tą Zosią — odezwała się Julka, spoglądając nań z pewnem niedowierzaniem.

— Była i jest, moje dziecko, ale po co to było mówić o tem, jeszcze sobie Bóg wie, co pomyślą.

— Nic nie pomyślą — wyrzekł prostując się porucznik; nie bój się o Julkę, nikt ci jej nie wykradnie, minęły te czasy...

— Proszę tatki — odezwała się na pół z przykrością, na pół żartem Julka — czy ja to już taka brzydka, zła...

— Nie, nie, tylko takich, jakim ja byłem, dziś nie ma.

— A gdyby się też znaleźli? — przerwał serjo inżynier.

— Nie mieliby potrzeby wykradać: teraz s rodzice narzucają, mosanie.

— Czy się to do mnie ma stosować, panie rucznika.

— A to co znowu? — wtrąciła matka.

— Eh nie, widzisz, ale co tam! powiem: oto

pan Stanisław na mój rozkaz oświadczył się dziś o Julkę. Hola! nie uciekaj waćpanna, poczekaj! — mówił ciągnąc za rękę zapłonione dziewczę. — Może ty go nie chcesz, hę?

— Ale niechże mi tatko da pokój.

— Moja Julciu, skoro tak było, trzeba powiedzieć, co ty myślisz? — dodała serjo matka.

— Co ja mam mówić — szeptało dziewczyniątko, wyrywając swą rękę — mama już dobrze wie co ja myślę...

— No, no, dosyć tych wstydów; panie inżynierze jedź, czas w drogę. Dobranoc, moje dzieci.

A kiedy zdziwiona matka patrzyła na to wszystko, nie wiedząc jak o tem trzymać, uszczęśliwiony porucznik pożegnawszy inżyniera, zacierał ręce z z radości, i chodząc po pokoju mówił:

— Tak, moja imość, wet za wet, darmo nic! Wyswatałaś mi chłopaka, ja ci wydam córkę i kwita!

— Ależ co to było?

— Nic nie było, mosanie. Spać mi idźcie! We czwartek, mosanie, się dowiesz.

— Aha, jużem w domu, wiem — przemówiła śmiejąc się matka.

— No, cóż wiesz?

— Bo we czwartek twoje imieniny.

— To dobrze, ależ to co rok tak bywa.

— Więc będzie kolacja; zabawa i zarazem...

— Moja kochana, nic zarazem. Proszę się nie domyślać, ja tego nie chcę! Najlepsze zarazem iść spać i głowy sobie nie suszyć tem, co do kogo nie należy. Dobranoc wam! A zakręciwszy się żwawo pobiegł do swego pokoju, zaczynając zwyczajną wieczorną modlitwę.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

